TAJNY FUNDUSZ.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharjasiewicza.

TOM II.

KRAKÓW.

Nakładem wydawnictwa „Kraju."

Druk Karola Budweisera.

1869.

XV.

Do stolicy nadchodziły z każdym dniem coraz smutniejsze wiadomości. Wskutek jakichś nader ważnych, jak mówiono, zeznań w sądzie, mnożyły się na prowincji aresztowania w sposób zatrważający. Codziennie prawie tylnemi ulicami miasta przywożono więźniów pod eskortą konnicy. Za więźniami przyjeżdżały liczne rodziny do miasta, aby w jaki sposób ratować biedne ofiary. Poznawano je na ulicach po czarnych ubiorach, po bladych twarzach i oczach zapłakanych Stawano, mówiono, wypytywano się, a gmin miejski stawał także, wypytywał i mówił między sobą, o czém dawniéj nigdy nie mó-

wił!.. A zawsze znalazł się ktoś, który objaśniał nieświadomych rzeczy...

Osobliwie zajmowano się wielce pewną dziwną wieścią. Od kilku tygodni miała policja polować za jakimś bardzo ważnym emigrantem. Opowiadano o nim rzeczy najnieprawdopodobniejsze, a jednak nie było nikogo, ktoby tym rzeczom otwarcie wiary odmówił.

Jedni widzieli w tym „wielkim nieznajomym“ tylko człowieka nader sprytnego i śmiałego. Inni jednak tłómaczyli odwagę i szczęście jego jakąś dziwną, tajemniczą opieką. Opowiadali, że ów niebezpieczny człowiek był już kilka razy w ręku policji, ale za okazaniem jakiegoś dokumentu puszczono go natychmiast na wolność, przepraszając z jak największém uszanowaniem.

Jaki zaś miał być ten dokument, o tém różnie mówiono. Jedni utrzymywali, że to miał być list żelazny podpisany przez Ludwika Filipa króla francuskiego, który chcąc się przekonać o stanie kraju, wysłał w tym celu pełnomocnego ajenta za

porozumieniem się z księciem Metternichem. Szczególny ten misjonarz nietykalny miał na celu zbadać, o ile tajne spiski polskie wiążą się ze spiskami francuzkiemi, które nowo obranego króla już się pozbyć chciały.

Byli tacy, którzy znowu utrzymywali, że to był poufny wysłannik cesarza Mikołaja. A nawet w kołach niższéj ówczesnéj biurokracji wierzono temu z rezygnacją, godną lepszéj sprawy. Uległość bowiem dla sąsiedniego mocarstwa była tak wielką, że nadawano mu zupełne prawo gospodarowania po krajach Austrji. Dokument cesarza Mikołaja wystarczał według wyobrażenia urzędników, aby posiadającemu go wolno było wszystko w kraju robić, choćby nawet na niekorzyść państwa. Poza tą niewytłómaczoną uległością kryła się niemoc i dziwnie tępe pojęcie ówczesnéj biurokracji, która tego pojąć nie mogła, aby dwaj sąsiedzi mogli mieć sprzeczne z sobą interesa państwowe.

Jedna tylko rzecz uderzała w tém naj-

mocniéj. Najlepiéj o tym niebezpiecznym człowieku był poinformowany — jenerał. On wiedział jego kryjówki, on pierwszy donosił o tém do Wiednia, a gdy policja za wskazanym przez niego śladem poszła, to zawsze coś odkryła, co doniesienia jego potwierdzało. Były to wprawdzie rzeczy mało znaczące, ale był zawsze dowód, że jenerał miał słuszność.

Z tego powodu było nawet wiele aresztowań. Z jakiéjś karczmy przywieziono całą żydowską familję wraz z betami jako *corpus delicti*, bo w tych betach spał ten człowiek niebezpieczny, jak tego dowodził schowany do poduszki urywek zagadkowego listu. Uwięziono także dzierżawcę, który go u siebie czajem z rumem częstował, jak o tém donosił arendarz z karczmy, który mieniał mu niżéj kursu złotą francuzką monetę. Arendarz byłby o tém może nie powiedział, ale zdradził go belfer, z którym nie chciał się podzielić zyskiem, pochodzącym z korzystnéj zamiany. Wzięto także proboszcza, z którym ten tajemniczy zbrodniarz dwie fajki ty-

tuniu wypalił i szklankę kawy wypił, a natomiast w brewjarzu zostawił mu w upominku proklamację czyli list otwarty Józefa Zaliwskiego, głównego przewódcy partyzantów, osadzonych w więzieniu...

Wreszcie nie stało już rady na sprytnego zwierza. Cała ta sprawa zaczęła wchodzić w sferę legendy. Pojawiły się nawet jakieś wierszyki, opiewające ludowym językiem przygody nieznajomego.

Trzeba było już raz temu złemu zaradzić. Mianowicie tryumf jenerała, który widocznie policję już oskrzydlił, nie dawał spać spokojnie ówczesnym ojcom kraju. Postanowiono więc gruntownie i z całą energją wziąć się do dzieła.

W tym celu na cały dzień od godziny dziewiątéj rano zamknięto plac ś. Ducha żelaznym łańcuchem. Taka operacja odbywała się zazwyczaj, jeśli w tak zwanéj sali gubernjalnéj, schodzili się radcy na sesję, aby coś dla dobra kraju uradzić.

I uradzono.

Do wszystkich starostw i miast obwodowych miano rozesłać okólnik, w którym

znajdowały się te surowe wyrazy: że każdy starosta, w którego obwodzie będzie się krył emisarjusz lub jaki inny niebezpieczny człowiek, a wyśledzonym nie zostanie, straci trzecią część rocznéj pensji. To samo stosuje się i do komisarzy obwodowych, w których rewirze podobne indywiduum zamieszka.

I rzeczywiście był to środek śmiały, heroiczny, ale najskuteczniejszy.

Najboleśniéj dotknął ten okólnik starostę obwodu, w którym właśnie ostatni zaginął ślad tego niebezpiecznego człowieka. Aptekarz miejski, były felczer wojskowy, opowiadał przyjacielowi swemu piwowarowi, że jakiś obcy człowiek kupował u niego „wronie oko," które do gatunku trucizn należy. Aptekarz sprzedał wprawdzie żądany medykament, bo obcy dobrze i złotem francuzkiém zapłacił, ale z motywów patrjotycznych musi to wyznać publicznie, bo obcemu prawdopodobnie chodzi o wytrucie wszystkich mieszkańców niepolskiego pochodzenia...

Fatalna więc *nux vomica* była ostatnim

śladem, który się kończył w mieście obwodowém o trzy niespełna domy od samego urzędu, w którym mieszkał starosta. Było więc niebezpieczeństwo niemałe. Najprzód „wronie oko“ patrzyło na wszystkich z tą samą nieodpartą, tajemniczą potęgą, z jaką ongi patrzyło oko z nieba na nieszczęśliwego syna Adama i Ewy, który pierwszy wykroczył przeciw paragrafom kodeksu karnego. Powtóre, a co jeszcze gorszém było od tego oka, zagrożono utratą trzeciéj części pensji!

Kiedy starosta o pensji przeczytał, kazał natychmiast zawołać najulubieńszego swego komisarza, który w tym dniu przypadkiem jakoś nie wyjechał nigdzie za djetami.

Przywołany, był to na pozór człowiek niepokaźny. Mały, przysadkowaty, bez najmniejszego wcięcia w biodrach, wyglądał jak kawałek nieociosanego drzewa, na którém zawieszony był długi surdut granatowy z zieloną podszewką i aksamitnym od brudu świecącym kołnierzem. Twarz miał okrągłą jak księżyc, miejscami trę-

dami pokrytą, wśród których najjaśniéj świecił nos dobrze rozrośnięty. Oczka małe, nieustannie biegające, zdradzały spryt niepospolity i wyglądały jakby zawsze na czatach były...

Ulubieniec starosty był to typ urzędnika z owych błogich, niezapomnianych czasów, które we wspomnieniach biurokratycznych zapisane są jako *alte, gute Zeiten!*

W owych to złotych czasach nie potrzebował urzędnik téj nauki, jakiéj dzisiaj od niego żądają. Głównym warunkiem było *saubere Handschrift*, a na wszystko inne były tak zwane *similia*, czyli wzory, według których ze zmianą imion i nazwisk pisano potrzebne referaty.

Komisarz, którego w ciężkim smutku starosta do siebie powołał, nie miał żadnéj nauki, ani żadnych studjów szkolnych nie odbywał. Antagonista jego, komisarz drugiéj klasy, opowiadał o nim, że chłopcem przyszedł z ojcem swoim, brykarzem do Galicji. Brykarz wiózł do Lwowa cukier i kawę, a że w kraju były złe

drogi, na których co kilkanaście kroków potrzeba było brykę hamować, wziął więc z sobą jednego z jedenastu synów, który szedł za bryką, i na komendę ojca kręcił korbą to w prawo to w lewo, w miarę tego, czy bryka jechała z góry czy pod górę. Ponieważ hamulca z powrotem tak często nie trzeba było, bo bryka jechała próżno, zostawił ojciec swego syna na nauce u strażnika drogowego, swego przyjaciela, u którego tenże uczył się przez kilka lat szeroką łopatą wyrównywać nasypane na drogę kamienie. Tu poznał go pisarz drogowy, a że chłopiec umiał pisać i czytać, użył go w kancelarji swojéj do przepisywania rachunków. Tym sposobem wszedł zwolna przybysz w służbę rządową, i idąc od szczebelka do szczebelka, po trzydziestoletniéj pisaninie został zaszczycony urzędem komisarza obwodowego, który według ogólnie danéj instrukcji miał odtąd rządzić krajem w dosyć obszernym swoim zakresie, trzymać go na równi z postępującą w Europie cywilizacją, i być dla niego reprezentantem

światła i rozumu najwyższych sfer rządowych.

I nowo mianowany komisarz umiał zadość uczynić tym wszystkim wymaganiom.

Machina rządu ówczesnego podobną była kubek w kubek do owej tradycyjnéj bryki antenatów szanownego komisarza, z tą tylko różnicą, że tę tylko z góry hamować trzeba było, tamtę zaś zawsze hamowano. Czy z góry, czy na gładkiéj drodze kręcono ustawicznie korbą, która hamulec tém więcéj do kół przyciskała...

Syn brykarza szlązkiego był się już za młodu tego szlachetnego rzemiosła wyuczył. Kręcenie korbą i przyciąganie hamulca szło mu teraz jak z płatka. Hamował więc gdzie tylko było co do hamowania, a starosta obwodowy widział w nim jednego wiernego sługę, który był w stanie o każdéj porze wstrzymać rozhukany żywioł narodowy w królestwie Galicji i Lodomerji. Dla tych jego zdolności nieocenionych pominął nawet w projekcie do awansu drugiego komisarza, który był szkoły gimnazjalne ukończył i w spra-

wach publicznych poważył się czasem mieć inne zdanie od zdania starosty... Ztąd prawdopodobnie powstał ów antagonizm między dwoma komisarzami...

Tak wysoką opieką zaszczycony komisarz, starał się teraz, odpowiednio wysokiemu swemu urzędowi, we wszystkiém naśladować starostę. Założył na szyję takie same olbrzymie kołnierzyki jak starosta, które mu nie pozwalały ani karku ugiąć ani głowy obrócić. U tego samego żydka, z téj saméj materji kazał sobie długi surdut uszyć, który był nadwornym liwerantem ces. kr. radcy. Również jak on starał się być opryskliwym i gburowatym, co, mówiąc nawiasem, najmniéj pracy go kosztowało. W stosunkach z publicznością starał się ją wszelkiemi siłami przekonać, że nie urzędnik dla publiczności ale publiczność dla urzędnika jest stworzoną, w których to pojęciach zgadzał się zupełnie z panem starostą. I w innych jeszcze rzeczach także się z nim zgadzał, ale to nie należy już do tego rozdziału.

— *Lieber Pandraczek* — rzekł raz na

wstępie do niego starosta, trzymając w ręku ów fatalny okólnik prezydenta, grożący odjęciem trzeciéj części pensji — *lieber Pandraczek*, *es ist nicht mehr zum Aushalten!* Chciałbym albo umrzeć, albo przynajmniéj przemienić się w intendenta prowjantów dla wojska!

— A skądże znowu taka rozpacz, *Herr Gubernialrath?* — zapytał zdziwiony komisarz.

— Rozpacz, nie rozpacz, *mein lieber Pandraczek*, ale widzisz jest to proste wyrachowanie. Intendent od powiatu ma mniejszą pensję odemnie, a wydaje dziesięć razy więcéj. Gdyby nawet zagrożono mu odjęciem trzeciéj części pensji, to według jego arytmetyki zostanie mu dziewięć dziesiątych!..

Pandraczek wysunął z rękawa krótkie palce swoje i posunął niemi kilka razy sentencjonalnie po kameryzowanym nosie. Uśmiechnął się, połknął sporo śliny, która na widok takiego rachunku gwałtem do ust mu się cisnęła i odparł:

— *Der liebe Herrgott hat verschiedene*

Kostgänger! Jedni jedzą objad z butelką wina, inni gryzą kawałek chleba i jeszcze palce po nim oblizują. Cóż robić! Świat jest to publiczny gościniec. Jedni jadą w karecie na resorach, i jadą najlepszą i najrówniejszą stroną drogi. Inni pchają sami wóz wyładowany ciężarem i muszą jeszcze, ustępując się karecie, jechać po świeżo nasypanych kamieniach! I żaden dróżnik temu nie poradzi!

— Masz wielki rozum, *lieber Pandraczek*, — ozwał się po chwili starosta, kiwając się z powagą na krześle, — ale będę cię miał za ostatniego głupca, jeśli nie wytropisz tego niebezpiecznego emigranta, który w tutejszéj aptece kupował wronie oko!.. Masz tu i czytaj, a przeczytaj kilka razy!

Pandraczek wziął fatalny okólnik do ręki i zaczął czytać. Przyszedłszy do zagrożenia odjęciem trzeciéj części pensji, pobladł na twarzy, zmarszczył brwi i zdawało się, że miał na ustach coś arcynielojalnego. Ujrzawszy jednak na ścianie kancelarji ponurą twarz nieboszczyka monar-

chy, któremu lojalność przysięgał, cofnął słowo nielojalne.

— Dziwna rzecz, — ozwał się po chwili, oglądając się starannie poza siebie, — myślałem, przecież, mówiąc między nami, że prezydent ma więcéj rozumu!.. Jak można urzędnikowi odbierać trzecią część pensji?

— Dla ciebie, *lieber Pandraczek*, to jeszcze pół biedy! Cóż znaczy u ciebie trzecia część pensji? Mizernych dwieście sześćdziesiąt florenów, podczas gdy za same djety liczysz sobie przeszło tysiąc!..

Komisarz spojrzał na starostę zpod oka. Nie był pewny, do czego te słowa jego zmierzają. Starosta jednak nie miał żadnéj myśli ubocznéj. Widział on wypełnienie całego roku djetami tak naturalne, że ani nawet do głowy mu nie przyszło, aby jakikolwiek wyrzut czynić swemu ulubieńcowi. I on tak samo czynił, jak był komisarzem. Teraz mógł tylko najwięcéj żałować tych błogich czasów, bo stanowisko jego dzisiejsze nie pozwalało na tak częste przejażdżki po obwodzie.

To też uspokoił się co do tego punktu

Pandraczek i wrócił do zagrożonéj trzeciéj części pensji.

— Nie spodziewałem się... takiego nierozumu po prezydencie, — odparł z pewną irytacją, — bo cóż to znaczy odbierać za karę trzecią część pensji urzędnikowi? To tak samo, jak gdyby dróżnikowi za złe sprawowanie się odebrano za karę trzecią część drogi! Jakże on może dowieść ochoty do służby drogowéj, jeżeli mu drogę odbierają? A czém jest droga dla dróżnika, tém jest pensja dla urzędnika! Odebrać mu ją, to znaczy odebrać choremu powietrze i kazać mu być zdrowym!

— Koniec końców, słowa twoje, *lieber Kommissär*, okólnika prezydenta nie zmienią. Idź do domu, każ zaprzęgać i jedź w imię Boga! Ale mówię ci, nie wracaj z próżnemi rękami!..

Komisarzowi zabłysnęły oczy z radości. Niewiedzieć, czy ta radość odnosiła się do uczucia patrjotyzmu państwowego, czy do liczby djet, które poczynały się natu-

ralnie od dnia dzisiejszego, jako od dnia rozkazu.

— Przysięgam, *Herr Rath*, — zawołał podniesionym głosem, — że nie wrócę z próżnemi rękami, albo wrócę z tym niebezpiecznym emigrantem, albo... albo... komisarzem nie wrócę!

— Nie wrócisz! — powtórzyło w téj chwili jakieś dziwne echo od portretu nieboszczyka monarchy.

Starosta i komisarz obejrzeli się z trwogą naokoło. W kancelarji nie było nikogo. Spojrzeli po wszystkich sklepieniach (urząd obwodowy mieścił się w dawnym klasztorze), i sklepienia były puste i milczące... Tylko surowa twarz nieboszczyka monarchy zdawała się wychodzić z płótna i patrzała na nich dziwném, przeszywającém okiem...

Komisarz chciał czémprędzéj przerwać to niemiłe przywidzenie i pożegnał starostę.

XVI.

Komisarz Pandraczek był tak wybornym typem ówczesnych komisarzy obwodowych, że niepodobna nam tak prędko z nim się rozstać. Był on jednym z tych ludzi, którzy wtedy w literalném znaczeniu tego słowa rządzili krajem. Podzielony na kilkanaście paszalików, wyglądał kraj jak wielka majętność, podzielona na kilkanaście folwarków, w których gospodarowali ekonomowie, każdy według własnego rozumienia i interesu, bez względu na ogólne potrzeby całéj majętności. Była wprawdzie między osobnymi paszalikami jedna myśl spójna i przewodnia, ale ta myśl odnosiła się wyłącznie do czynności policyjnych, wybierania podatków i sta-

3

wiania rekruta. O korzyściach całego kraju nikt wtedy nie myślał, a że tak było w istocie, dosyć jest przeczytać dzieje sejmów postulatowych kraju!

A dziwnie wyglądają te dzieje. Ludzie obciążeni przekazem przeszłości, poczuwający się najwięcéj do obowiązków narodowych, z niezwietrzałą jeszcze tradycją po ojcach i dziadach swoich, byli wówczas tak skromni i potulni w postulatach swoich, jak gdyby zapomnieli o Zamoyskim, który w zamku swoim trzymał jeńca z dynastji europejskiéj; o Jagielle, który deptał po karkach krzyżackich; o Chodkiewiczu, Sobieskim i tym podobnych gwiazdach historji... A nawet te skromne i potulne żądania jedynego organu krajowego nie były nigdy uwzględnione. Władza krajowa umiała zawsze w Wiedniu takie o kraju dać wyobrażenie, że postulaty te odkładano na bok, a sejmowi dawano na drugi rok odpowiedź, że rząd najwyższy raczył przedłożone żądania wziąć do łaskawéj wiadomości. Na tém kończyło się wszystko. Dalszéj drogi według statutu

już nie było, a deputaci nie odważyli się nigdy wyraźniejszą postawą dać nacisku najsłuszniejszym żądaniom swoim.

W tych błogich czasach miał urzędnik szerokie pole dla siebie. Nikt go nie kontrolował, prasy publicznéj nie było. Zmuszając kraj jakotéż całe państwo do milczenia rządami policyjnemi, sprowadzono we wszystkich kierunkach najsmutniejszą stagnację i przygotowywano powoli dla monarchji te wszystkie nieszczęśliwe katastrofy, które zaczęły się od roku 1848, a doszły w naszych czasach aż do smutnéj klęski pod Sadową!...

Rządy powierzono krótkowidzącéj biurokracji, która przyszłości państwa nie mierzyła na wieki, ale miała tylko wzgląd na swoje stanowisko jako na dożywocie. Żaden dygnitarz nie myślał daléj, jak o tém tylko, aby spokojnie do końca życia spożywać wygodny kawałek chleba. Środki policyjne wystarczały mu do tego, a co po nim nastąpić miało, to go wcale nie obchodziło. Prawdziwych patrjotów, którzyby na potomne wieki gospodarstwo

państwa rozłożyli i dla tych wieków siali, nie miała monarchja.

Jeżeli w monarchji taki stan rzeczy panował, sto razy gorzéj było w Galicji. Nikomu z dygnitarzy ani na myśl nie przyszło, że ta część ziemi polskiéj może mieć kiedyś jakąś przyszłość, i że w interesie korony było tę nadchodzącą przyszłość dla swéj własnéj korzyści należycie spożytkować. Nie myślano o tém, że przy historycznym rozwoju mogą się interesa sąsiadów pokrzyżować, a wtedy potrzeba będzie szukać dróg nowych, nowych sprzymierzeńców, i innych sił, niż te, jakie dać mogły spisane traktaty!

W zarządzie kraju odgrywał wtedy nieposlednią rolę komisarz obwodowy. Starosta siedział spokojnie w obwodowém mieście i zbierał tylko do swych rąk czynności rozsyłanych po obwodzie komisarzy. Komisarze ci mieli wprawdzie pewne instrukcje, ale instrukcje te były szerokie i zostawiały wiele próżnego miejsca, które komisarz wypełniał według najlepszego swego rozumienia. Na to zaś rozumienie

wpływało bardzo wiele rzeczy. Spaczone wyobrażenia o warunkach państwa, dziwne zapatrywanie się na stosunek kraju do monarchji, brak wszelkiéj głębszéj nauki, a nawet i uderzająca często nieudolność umysłowa zastąpiona dobrym węchem policyjnym i brutalnym rygorem, charakteryzowały dziwnie te ostatnie ogniwa machiny rządowéj, które już wprost za interesa publiczności zaczepiały.

Zdaje się, że niefortunna ta kreacja ówczesnego rządu nawet przybywających z zagranicy mocno uderzała, gdyż okazał się w tych czasach w Paryżu osobny obrazek, naszkicowany z niemałym zasobem psychologji i antropologji, pod tytułem: „Komisarz obwodowy.“

Objeżdżający właśnie komisarz obwodowy miał przedewszystkiem działać w myśl tak zwanéj józefińskiéj idei, i społeczeństwo kraju podzielić na nieprzyjazne sobie obozy. Z jednéj strony miał tak zwanego dziedzica utrzymywać w dobréj wierze jego prerogatyw i interesów osobistych wobec gromady, a z drugiéj stro-

ny miał rozdmuchiwać zarzewie niezgody domowéj, biorąc gromadę w opiekę rządu i niejako potakiwać nieznacznie jéj urojonym mrzonkom socjalistycznym. A najlepszą zaletą takiego komisarza było utrzymanie pewnego ekwilibrjum, które pozornie obu stronom obiecywało pożądane korzyści.

Jakkolwiek komisarz Pandraczek nie miał potrzebnéj do swego stanowiska nauki, umiał jednak ten brak sowicie sprytem nagrodzić. Pojmował on doskonale, czego od niego wymagano. Czy jednak nie wierzył w swoje zdolności, czy chciał sam sobie ulżyć, dosyć, że do założonych celów swoich inną od kolegów postępował drogą. Być może, że ta droga była lepszą, a nawet korzystniejszą dla niego.

Według tradycyjnych typów miał komisarz obwodowy mieć jak Janus dwie twarze. Jedna miała wyrażać pokój dla szlachcica, druga wojnę dla gromady. Umiejętnym ruchem téj głowy janusowéj miał tego dokazać, że szlachcic tylko jedną, a gromada tylko drugą widziała.

Dla Pandraczka było to może zadanie zatrudne. Pomógł więc sobie w sposób nader prosty. Oto urzędową swoją postać komisarską rozciął na dwie osobne części. Jednę, lepszą, sam reprezentował, drugą dał innemu człowiekowi, którego zawsze na wszystkie przejażdżki brał ze sobą.

Był nim tak zwany „landsdragon,“ którego siny, jeneralski mundur nadzwyczajnie chłopom imponował. Wprawdzie „landsdragon“ ten był teraz pieszym człowiekiem, bo za jakieś nieokreślone bliżéj przestępstwo odebrano mu konia i wózek, zostawiono mu jednak pół pensji i mundur dawnéj służby.

Johan, jak go zwykle nazywano, był wysłużonym sierżantem, mówił z czeska po polsku, mieszając w to trochę niemieczczyzny, co w karczmie między chłopami tyle znaczyło, ile w dzisiejszym salonie polskim znaczy mieszanie frazesów francuzkich do mowy ojczystéj. Była to zawsze pewna dystynkcja, obliczona jednak tylko na ciemne, opodal stojące masy.

Komisarz Pandraczek lubił dobry objadek, lubił winko i karty. Karty miały jednak u niego inne znaczenie niżeli u zwykłych graczy. Komisarz na to grał w karty, aby wygrać. A wygrywał zawsze stosownie do spornéj sprawy, dla któréj do dworu przyjechał. Gdy sprawa była ważniejsza, komisarz wygrywał więcéj, a sprawa nadspodziewanie załatwiała się ku wielkiemu zadowolnieniu szlachcica. Czasami przeciągała się sprawa długo, nie była jasną i dojrzałą do ostatecznego wyroku, wtedy i gra przeciągała się dłużéj, zawsze jednak z nader jasnym dla komisarza rezultatem.

Przyznać należy, że Pandraczek nie był człowiekiem wprost przekupnym za gotowe pieniądze. Był w tém rozum praktyczny i dosyć jasne wyrachowanie. Naturalja zaś, jak owies, mąka, kartofle a czasem i konik młody, nie miały u niego cechy przekupstwa. Brał je otwarcie, a nawet kazał fornalkom dworskim w dzień jasny do miasta obwodowego odwozić.

Przy takich słabostkach swoich nie zry-

wał nigdy z dworami otwarcie. Był z niemi w jak najlepszéj przyjaźni, jadł dobre objadki, pił węgrzyna a nawet czasem narzekał na starostę, który w takim razie był u niego synonimem rządu. Wyżéj nigdy się nie ośmielił, wyjąwszy w kółku bardzo zaufaném.

Gdy się jednak do dworu wybierał, siadał Johan na kozieł. Komisarz wchodził do dworu, Johan w sinym jeneralskim mundurze szedł do karczmy między chłopów. Chłopi z otwartemi rękami przyjmowali między siebie sinego opiekuna, z wiarą fanatyczną, że przez usta landsdragona mówi sam starosta, tak samo jak przez usta starosty mówi cesarz, bo jeden i drugi mówił to, co się im podobało.

Johan znał doskonale w takim razie swoją rolę. Chwalił się poufną przyjaźnią starosty i w różnych aforystycznych zdaniach dawał im elementarną naukę o własności lasów, łąk pańskich, młynów, o pańszczyznie, szarwarku i o mostach wspólną pracą na rzekach erygowanych i t. d.

Jeżeli była na miejscu jaka sprawa

sporna dziedzica z gromadą, Johan wyjaśniał jéj tę sprawę w sposób, jak ją sam starosta pojmuje, opowiadając przytém o wielu nadużyciach ze strony dworów....

Po téj jeneralnéj prelekcji wracał do dworu i tam w kuchni lub w kredensie bawił się rozmową z czeladzią i wypytywał ją o niektóre, niejasne mu szczegóły lokalne. Pod wieczór przyjmował z wielką rezygnacją rolę kamerdynera komisarza, zdejmując mu ciasne buty i opowiadając przytém o zaszłościach dnia ubiegłego. Ktoby ich wtedy obu podsłuchał, wziąłby ich za poufnych przyjaciół.

Tym sposobem uzupełniał się komisarz, a było mu z tém bardzo dobrze.

— Johan! — zawołał wychodząc od starosty, — każ zaprzęgać, pojedziemy!

— *Zum Grafen?* — zapytał landsdragon, a siwe oczy jego zaświeciły się jak próchno śród nocy.

— Nie! *Nicht zum Grafen!* — odparł krótko Pandraczek.

Johan posmutniał czegoś. Wprawdzie krótka, nieokreślona odpowiedź komisa-

rza kazała mu się domyślać, że tu idzie o wyprawę na jakiegoś emigranta. Ale wypraw takich było już setkami, najeździł się z komisarzem po dziurach i błotach, a nigdy prawie nic nie ułowiono. Z kwaśną więc miną poszedł do wozowni i pomógł furmanowi wyciągnąć ładowną brykę komisarza obwodowego.

Za godzinę było już wszystko do podróży gotowe.

A dziwny był to ekwipaż. Trzy konie zaprzężono do bryki, dwa inne, pod tytułem źrebiąt, puszczono luzem. Nigdy inaczéj nie wybierał się komisarz w drogę. Owies dworski służył bowiem wybornie jego koniom.

Gdy już spory kawałek za miasto wyjechali, zapytał komisarz zadąsanego Johana:

— Dlaczego myślałeś, że pojedziemy do grafa?.. Wszak niedawno tam byliśmy!

— Myślałem bardzo słusznie, — odpowiedział poufnie Johan, — bo widziałem w mieście lokaja, który brał wino...

— Brał wino? *Saperment!..* A na cóż im dzisiaj wina? Nic nie słyszałem!

— U cukiernika kazano zrobić dwa torty z koroną grafowską... — prawił daléj Johan.

— Dwa torty? *Was ist denn das?* Czy wesele jakie, czy zaręczyny panny Weroniki?

— Krawiec Zyśko robił nową liberję z koronami na guzikach dla trzech lokai...

— Aha! Już się domyślam! *Zum Teufel!* Ani słowa mi nie powiedzieli!

Na tém skończyła się rozmowa. Komisarz zamyślił się głęboko. Czoło jego pofałdowało się. Wnet jednak rozjaśnił twarz, jakby jakąś nader szczęśliwą myśl pochwycił.

I rzeczywiście myśl ta była dosyć szczęśliwa. Miał szukać niebezpiecznego człowieka, emigranta lub coś podobnego. Rozumie się, że każdy emigrant musi być głodnym i że pilnie patrzy, gdzie się z komina kurzy. Jakkolwiek graf, o którym Johan wspomniał, nigdy emigrantów u siebie nie trzymał, mogło się jednak wy-

darzyć, że głodny patrjota, zwąchawszy wino i torty, zajechał do grafa...

Tak sobie myślał w téj chwili komisarz. I myśl ta, natchniona winem i tortami, mogła być wcale niezła. Połknął więc ślinkę, która do ust mu się cisnęła i zawołał:

— Johan, każ nawrócić! *Zum Grafen!*

Johan uśmiechnął się, jak człowiek, który już dawno był pewny tego, co nastąpiło.

XVII.

Po dwugodzinném, jednostajném dudnieniu bryki, po dwugodzinnych niejednostajnych marzeniach komisarza i landsdragona, wychyliły się z pięknego krajobrazu poczerniałe i połamane dachy biednego, małego miasteczka. Widok ten dziwnie kontrastował z olbrzymim obrazem natury.

Najprzód wychyliła się karczma długa a wązka, ze wszystkich stron popodpierana. Kilka łat z gontami, które niedawno dumny jéj szczyt stanowiły, leżały teraz na ziemi, jak smutny przykład każdéj ziemskiéj wielkości, która o swoich własnych siłach na górze utrzymać się nie może... Przed karczmą kołysał się melancholijnie żóraw i za każdym silniejszym

podmuchem wiatru okazywał niekłamaną ochotę połączyć się ze szczytem dachu, który tuż koło niego leżał śród błota. Przez pół wieku trzymał on głowę wysoko, a dzisiaj sprzykrzyło mu się to górowanie nad innemi. Inne nastały czasy!

Za karczmą stał domek dziwnéj struktury. Właściciel jego upostacił nim własne dzieje swoje. Dawniéj mieszkał w tym niższym, na pół rozebranym. Jaśniejsza gwiazda zaświeciła nad nim. Wyszedł ze starego domku i na górze zaczął budować nowy, okazalszy. Fundamenta dał dobre i kosztowne, do połowy okien doprowadził dobrym, naprzód przygotowanym materjałem, a coraz wyżéj łatał coraz gorzéj, nakrywszy w końcu to wszystko ubogą strzechą słomianą. To téż opinja publiczna bardzo słusznie, choć tylko ręką miejscowego ulicznika, napisała na tym domu czarnym węglem: „wyrwał się jak Filip z konopi!“ A snać dla narodowego równouprawnienia napisała inna ręka na drugiéj stronie czerwoną cegłą: *Kołyś ne pyroh ne pyrożysia!...* I

zdaje się, że nielitościwa ta krytyka odpędziła nieszczęśliwego autora od dzieła swego, bo okna domku były pozabijane deskami.

Poza tą niedoszłą willą poczynał się regularny szereg innych domów. Każdy z nich był dla obcego spektatora jakąś dziwną nauką. Było to istne abecadło, z którego układały się różne sentencje i morały społeczne. Można było to czytać tak wyraźnie, jak w bajkach Krasickiego.

Tam naprzykład sterczy nad inne dachy dom jakiegoś Djomeda miasteczka. Grzebień jego rywalizował z kopułą cerkiewki, a biała facjatka dumnie urągała się przytulonéj do jéj podwalin chałupce biednego rybaka. Tymczasem wiatr jakiś niesforny przesunął się ponad mieściną, zerwał hardy grzebień dumnego Djomeda, a malutki rybak ocalał!.. Szkoda, że tego obrazu nie widzą pan Bismark i elektor heski! Jeden możeby się pocieszył, a drugi wszedł w siebie...

Razem jednak wszystko wziąwszy, miasteczko to, nie wyłączając kościołka bia-

łego i omszałéj cerkiewki, sprawiało wrażenie smutne i niemiłe. W społeczeństwie tego miasteczka widać było wyraźnie jakiś dziwny rozstrój, upadek i ubóstwo. Słupy domów pokrzywiły się, węgły wyszły z karbów, dachy rozchodziły się, a okienice, zawieszone na jednym haku, groziły ostateczném opuszczeniem okien, którym dotąd tak wiernie służyły! Słowem, nic nie trzymało się kupy, żadna ręka nie starała się nadać słupom innego, prostego kierunku, wepchnąć węgłów w dawne karby, zatrzymać dachów w ich powolném osiadaniu. Wszystko dążyło zwolna i systematycznie do ruiny!

I gdzież są ludzie, którzy te przybytki stawiali? Gdzież jest ta siła, ta potęga, która tu niegdyś zawiązała to miejskie społeczeństwo, zbudowała te domy, porobiła w węgłach przynależne karby, a słupy dla przyszłości głęboko wkopała w ziemię?. Któż od tego czasu zarządzał tą ziemią, że tak wszystko zbiedniało, podupadło, z karbów wyszło, a co było proste, pokrzywiło się?..

Możeby na to jadący właśnie przez rynek miasta komisarz Pandraczek i landsdragon Johan co odpowiedzieli? Możeby wyjaśnili, gdzie się podziała ta siła, która dawniéj miasta budowała, i jak się nazywa ten nurtujący grzyb podziemny, który je dzisiaj niszczy, wali i w ruiny obraca?...

Poza miasteczkiem zmienia się nagle widok. Najprzód następuje szeroka fosa, otoczona z drugiéj strony żywopłotem, która jałowy grunt miejski równo odcina od pięknie założonego parku.

Według rachunku Pandraczka, podróż ta jego niefortunna przypadła właśnie w pierwszych dniach kwietnia. Śniegi już dawno zniknęły, a zielona trawka wykłuła się z ziemi.

To też ów park odcięty od miasta szeroką fosą, był już dosyć zielony i wyglądał jak piękny aksamit. Po tym aksamitnym dywanie porozrzucane były grupy drzew i krzaków i tworzyły przecudne, dziwnego kształtu arabeski. A w głębi tych arabesków czerwienił się wypukły

dach pięknego pałacyku, w nowym, włoskim guście postawionego. Poza pałacykiem widać było jeszcze inne dachy i daszki struktury fantastycznéj, chociaż niebardzo z sobą zgodnéj. Na prawo szkliły się okna oranżerji, na lewo były oficyny, do których właśnie wzdychali jako do kwatery swojéj, wjeżdżający do parku goście.

Komisarz wychylił z bryki głowę, aby policyjném okiem swojém sprawdzić to, o czém z takim zapałem mówił Johan przed dwiema godzinami. I rzeczywiście Johan mówił prawdę.

Najprzód zaraz od kuchni zaleciała komisarzowi do nosa jakaś woń dziwna. Pochodziła ona prawdopodobnie z potrawy, jakiéj jeszcze nigdy nie jadł. Potém trzech kuchcików kręciło się koło kuchni, a dotąd zawsze widział ich tylko dwóch. Widać z tego, że kuchnia była dzisiaj na stopie wojennéj.

Po tém jedném sprawdzeniu trącił go Johan poufnie nogą pod fartuchem, zwracając uwagę swego pryncypała na małą,

żelaznemi obręczami obitą beczułkę, w której niezawodnie wino przeczuwał. — Wkrótce odwzajemnił mu się komisarz za tę okazaną przyjaźń, i dzióbnął go trzykroć trzciną hiszpańską poniżéj żeber, okazując mu ćwierć tłustego barana, którą właśnie z śpiżarni niósł kuchta do kuchni.

— *Ich hab's schon gerochen!* — mruknął rozradowany Johan i połknął w marzeniu kawał pieczeni.

— *Du hast Schnauze wie ein Spürhund* — odparł komisarz z uśmiechem szczęścia.

— *Wie ein echter Kreiskommissär* — ozwał się nagle ktoś z za klombu.

Komisarz otworzył usta i spojrzał wkoło z najwyższém zadziwieniem. Słyszał słowa tak wielce jego godności ubliżające. Czyż takie przyjęcie czekało go w tym gościnnym dworze? Czy była to przepowiednia jakiego nieszczęścia, które go w tym pałacu spotkać miało?...

— *Wie ein echter Kreiskommissär* —

powtórzył złowrogi głos z poza krzaków akacji.

— *Wer sagt das?* — krzyknął komisarz i wychylił się z bryki cały siny ze złości.

— *Sie reisen wie ein echter Kreiskommissär* — ozwał się głos po raz trzeci i wraz z nim okazał się teraz komisarzowi średniego wieku człowiek w mundurze lejtnanta od konnicy austrjackiéj.

— *Tausend Element!* — zawołał Pandraczek — *sind Sie es, Herr Graf?*

Człowiek mundurowy odkrząknął, uśmiechnął się i czémprędzéj pospieszył podać rękę komisarzowi.

— *Nur ein Kreiskommissär reist in einem solchen Rumpelkasten!* — rzekł po chwili.

— *Geben Sie mir was besseres!* — odparł komisarz oblizując się.

— *Wir werden schauen!... Was macht Herr Gubernialrath? Bitte, bitte!*

Po tém przywitaniu ruszyła bryka przed ganek, gdzie dwóch lokai czekało na gościa.

Zaledwie lokaje z wszelkiém uszanowa-

niem wysadzili z bryki Pandraczka, który, mówiąc nawiasem, uważał za ton pański, obejść się z nimi w sposób dosyć gburowaty, pojawiła się na ganku w strojnéj sukni młoda dama z perłami na szyi i podała mu na przywitanie drobną rączkę.

— Przyjeżdżasz pan, — ozwała się patrząc z ukosa na męża, — przyjeżdżasz pan, jakbyś odgadł nasze pragnienia. Bylibyśmy nawet posłali konie do miasta, ale komisarz Szperl mówił nam, że pan, jak zwykle na komisji! Czyż pan dawno Szperla widział? Zkądże miał on tę wiadomość?

— Sperl, *schätzbarste Frau Gräfin*, jest moim antagonistą. Niech mu pani nigdy nie wierzy!

— Właśnie dzisiaj spodziewamy się trochę gości. Miło nam będzie, że nam pana nie zabraknie!

Rzekłszy to, obróciła się szybko, nie podając gościowi ramienia. Lekkim tylko giestem dała mu do poczucia, aby szedł za nią. Komisarz posłuchał tego rozkazu, pociągnąwszy pierwéj szeroko dłonią za-

miast szczotki po granatowym surducie, począwszy od brody a skończywszy aż na butach. Za nim szedł gospodarz, pogwizdując sobie jakąś wojskową, niemiecką piosenkę.

Zanim jednak komisarz w salonie policyjném okiem swojém zagadkę dzisiejszego festynu rozwiązać potrafił, landsdragon Johan wiedział już o wszystkiém z najdrobniejszemi szczegółami, — tylko celu jeszcze nie wiedział.

Stary lokaj zaraz za klombem powiedział mu, że nie mogli lepszéj godziny obrać nad tę, w któréj przyjechali. Za chwil kilka mają się zjechać z różnych stron liczni goście. Z Łozowa przyjedzie cały korpus oficerów stojących tam dwóch szwadronów kawalerji, z sąsiednich dóbr kameralnych przybędzie pan ferwalter, z miasta obwodowego obiecali się fizyk, oficjał pocztowy, pensjonowany rotmistrz, komisarz Szperl, pułkownik od piechoty i pięciu lejtnantów. Po starostę przed godziną posłano zieloną karetę...

— *Was, Teufel!* — krzyknął Johan, — a któż się żenić będzie?

— Żenić? — odparł stary sługa, — nikt się żenić nie będzie, chyba sam dj....

Johan myślał i myślał i nic wymyślić nie mógł. Pod tym względem był na równi z panem swoim w salonie, który także nie mógł jeszcze odgadnąć, w jakim celu to wszystko się dzieje.

Zdaje się, że tylko gospodarz i gospodyni posiadali klucz do téj tajemnicy, ale dotąd milczeli.

XVIII.

Tajemnica dzisiejszego festynu i uczestniczącego w nim towarzystwa była dosyć cickawa. Aby jednak ją dostatecznie rozwiązać, trzeba się bliżéj zapoznać z właścicielem tego pałacyku i miasteczka.

Ojciec dzisiejszego właściciela był człowiekiem staréj daty i starego rodu. Żywot jego był poświęcony sprawie ojczyzny. Czynił co mógł, i do czego był swoim majątkiem i imieniem obowiązany. Po sejmie grodzieńskim zdawało mu się, że skończył się jeden rozdział dziejów ojczystych, a po tym rozdziale nastąpiło próżne miejsce na papierze. Zdawało się staremu szlachcicowi, że z téj pauzy dla siebie skorzystać trzeba, zanim się jaki nowy

rozdział rozpocznie. Wrócił więc do osieroconéj siedziby ojców i czekał natchnienia Bożego.

Natchnienie przyszło. Uformowały się legjony, szlachcic stary siadł na koń. Po pięciu latach wrócił ranny i do boju niezdolny do domu. I znowu czekał natchnienia, ale natchnienia innego rodzaju.

I wkrótce nadeszło to natchnienie. Na świętojańskim jarmarku we Lwowie obaczył legjonista świeżą fertyczną panienkę, która z ciocią swoją jmćpanią starościną drohobycką po sprawunki przyjechała.

Legjonista miał lat sześćdziesiąt kilka, ale dłuższy pobyt w Hiszpanji dziwnie wpłynął na niego. Powietrze pełne woni, lasy cytryn i pomarańcz i czarne, szkliste oczy hiszpanek odmłodniły w nim krew i serce. Po długich, pięknych nocach nasłuchał się pieśni miłosnych, które każdy *embecevido* pod oknem swojéj królowej wyśpiewywał. Nieraz w nocy miesięcznéj widział wyraźnie, jak biała zasłona podnosiła się w oknie, jak natomiast pojawiała się jakaś twarz kobiety w bieli, jak

ta twarz schylała się zwolna z cichym szeptem do twarzy nocnego śpiewaka.... wtedy nagle ustawał śpiew, a nastawała jakaś dziwna, roskoszna cisza, śród któréj gwiazdy tak dziwnie mrugały, a księżyc tak słodko się uśmiechał...

Wszystko to weszło w duszę i krew legjonisty i zaszło z nim aż do Polski.... Obaczywszy we Lwowie ową fertyczną panienkę, zapomniał o sześciu krzyżykach, o dwóch bliznach na głowie, a rozkoszne sceny nocy hiszpańskiéj stanęły mu żywo przed oczyma...

Od marzenia do rzeczywistości było bardzo blisko. Legjonista był bogaty, pan całego klucza. Panna nie miała nic prócz francuzkiéj edukacji, odebranéj od jakiéjś szanownéj markizy z emigracji ówczesnéj. Szanowna ciocia, prócz tytułu jmćpani starościny, także nic więcéj nie miała. Łatwy więc był targ, i nie upłynęło dwa miesiące, a szczęśliwy legjonista muskał z wielkiego szczęścia szeroką ręką po łysinie, gdy ksiądz proboszcz rozwodził się nad sprawiedliwością miłosiernego Boga,

który dobre uczynki zawsze wynagradza, chociaż w późnéj, bardzo późnéj jesieni... a nawet czasem nad grobem!

I rzeczywiście legjonista za swój poczciwy, sprawie ojczystéj poświęcony żywot, czuł się teraz sowicie wynagrodzony. Młoda żonka jak biała turkawka kręciła się w koło niego, a on w lepszych chwilach śpiewał jéj hiszpańskie piosenki i naśladował hiszpańskiego *embecevido*, który żebrze miłości...

Wkrótce jednak zaczęły ucichać piosnki hiszpańskie, a natomiast coraz częściéj odzywał się srebrny głosik młodéj mężatki w jakiéjś dziwnéj, uszy przeszywającéj wibracji...

Legjonista spostrzegł dysharmonję i postanowił uczynić — wieczną pauzę. Położył się do łóżka, z którego już sam się nie podniósł. Podnieśli go ludzie zapłaceni i włożyli do trumny. Żona dla zwyczaju płakała za starym mężem, a po pogrzebie dla ratunku zdrowia wyjechała z ciocią za granicę, ubezpieczywszy wprzód

interesa majątkowe na korzyść mającego się narodzić potomka legjonisty.

Jakoż niezadługo narodził się spadkobierca legjonisty, któremu ksiądz proboszcz dał na chrzcie wielce znaczące imię Tyberjusz, opowiedziawszy chrzestnym ojcom wprzódy nieco o cesarzach rzymskich.

Małego Tyberjusza przechrzciły zaraz kobiety na „Bercia“, a za lat kilkanaście przezwali go jego rówiennicy i towarzysze „Berkiem“, z czego jednak bynajmniéj nie wypływa, aby był neofitą.

Bercia oddano pod wyłączną opiekę bony, a gdy wyrósł na Berka, dopełniali wychowania jego rozlokowani w poblizkich wsiach oficerowie kawalerji, dla których matka miała wielką słabość.

I tak śród żołnierskiego rzemiosła i żołnierskiéj szkoły dojrzewał imiennik rzymskich cesarzów na przyszłego obywatela kraju, na spadkobiercę zawieszonéj nad łóżkiem jego zbroicy ojca i dziada....

Były to jeszcze czasy wojny. Przy szczęku broni trudno było o muzach myśleć. Toż ideałem życia małego Tyberjusza był mundur żołnierski. Ale nie mundur, jaki ojcowie jego nosili, nie buławy i buzdygany, ale poprostu świecący mundurek austrjackiego lejtnanta śród pokoju. Skromność taka nie czyniła wprawdzie zaszczytu krwi karmazyna. Ale to nie było jego winą. Ze śmiercią ojca zaginęła dla niego wszelka tradycja rodu, urwała się nić, wiążąca go do przeszłości. Powodem tego była matka. Włóczyła się z synem po zagranicy, a gdy do kraju wracała, wybierała sobie towarzystwo z najbliższych garnizonów. Tym sposobem młody Berek nie widział, nie znał, nie słyszał nikogo, ktoby co o jego przodkach i wiążących się z nimi losach ziemi ojczystéj powiedział. W głowie jego było ciemno, w sercu pusto. Zostawiony wpływom okolicznościowym mienił się, przekształcał, rósł i upadał, aż wreszcie dojrzał tak wysoko umysłem i sercem, że na dalszy żywot swój zapragnął ideału.

Ideał ten wziął sobie z najbliższego otoczenia. Był nim lejtnant od konnicy.

Od téj chwili śnił i marzył tylko o mundurze lejtnanta. Pałasz ze złotym kutasem, kartusz ze złotym orłem dwugłowym, ostrogi, czapeczka na czoło pochylona i szpicruta—były akcesorjami tego ideału.

Innego pragnienia, innych zachceń nie miał syn legjonisty. Nie wiedział, ani nawet nie przeczuwał, jaki przekaz mógł mu zostawić towarzysz Napoleona. Był pod tym względem niewinnym jak gołąb!

Miał lat dwadzieścia kilka, gdy matka uznała za stosowne wypuścić go ze swojéj doczesnéj opieki i polecić panu Bogu. To téż zaraz w pierwszym roku skorzystał Tyberjusz ze swojéj wolności i czarny żałobny surdut zamienił na biały, żołnierski kabat. A kabat ten wziął z tém wyraźném postanowieniem, aby w nim dójść do ideału swego — do rangi lejtnanta.

I niebo poszczęściło zamysłom jego. Za kilka lat służby wojskowéj, która sporo

pieniędzy kosztowała, a żadnéj nauki do głowy nie wprowadziła, został wreszcie Tyberjusz — lejtnantem.

Był to zenit jego szczęścia, meta, do któréj dążył. Towarzysze zatrzymali go wprawdzie dla jego pieniędzy czas niejaki na tym zenicie, ale wkrótce ocknął się szczęśliwy Tyberjusz, a widząc się u celu, wystąpił ze służby, zatrzymując sobie charakter i mundur lejtnanta.

Teraz mu pewnie już nic do szczęścia nie brakowało. Mógł nosić mundur lejtnanta.

I nosił go téż z całą żarliwością. Czy to potrzeba było z ekonomem coś uradzić, czy arendarza gościnnie u siebie przyjąć, czy do pięknéj natury szeroką piersią westchnąć — musiał mieć mundur.

Nad mundur lejtnanta nie było nic piękniejszego, nic zaszczytniejszego. A że do tego munduru wiązały się różne reminiscencje, to wdzięczny Tyberjusz zatrzymał je wszystkie. Mówił zawsze po niemiecku i tylko po niemiecku. Po francuzku towarzysze jego nie umieli, a polskim

językiem brzydził się, jakby jakąś nieokrzesaną pospolitością.

Mimo to wszystko nie zerwał on jednak z całą tradycją po ś. p. legjoniście. Została mu fantazja ojca do miłosnych śpiewek hiszpańskich. I wydarzyło mu się, tak samo jak ojcu, że na pewnym balu wojskowym we Lwowie poznał był piękną dziewicę, któréj wieczystą służbę ofiarował. Dziewica pokochała mundur, i za kilka tygodni, tak samo jak za czasów ojca, powiedział ksiądz orację przedślubną i połączył oboje.

I zrazu, jak to zawsze bywa, było stadło nader szczęśliwe. Pani Ida była zwykłą kobietą swego czasu, rozumie się, kobietą wyższego towarzystwa. W całéj Galicji nie było podówczas żadnych szkół żeńskich. Rząd, jak się zdaje, nie był wcale za równouprawnieniem i dlatego żadnych publicznych szkół dla kobiet nie zakładał, a prywatnych nie było. Kilka klasztornych szkółek nie wchodzą w rachunek. Biedne kobiety zostawiono opiece Opatrzności boskiéj, która liljom i bła-

watkom nadaje takie piękne barwy! Bogatsze szukały gdzieindziéj edukacji, ale ta edukacja była fatalna. Najczęściéj pokojówka francuzka była tu apostołem cywilizacji i w młode serca wlewała skarby, z których miała czerpać przyszła matka i obywatelka kraju!.. Smutne i nader smutnych skutków było takie wychowanie!..

To téż wkrótce okazała się dziwna próżnia w życiu pani Idy. Lejtnancki mundur męża już jéj nie wystarczał, a że kobiety są śmielsze w marzeniach swoich, toż i pani Ida zapragnęła czegoś więcéj.

Pan Tyberjusz dojrzał tę próżnię, która żonie sen odbierała. Sprawił sobie nowy mundur, pozawieszał na nim wszystkie oficerskie błyskotki, ale to wszystko melancholji żony nie zmieniło.

Pan Tyberjusz zamyślił się głęboko nad melancholją żony. Było to może pierwszy raz w życiu, że użył odnośnych do téj operacji władz umysłowych. Ale operacja ta, jak wszystkie w początkach, szła mu bardzo niefortunnie.

Jak zawsze, tak i teraz szukał pan lej-

tnant Tyberjusz natchnienia w najbliższém swojém otoczeniu. A otoczenie to składało się z samych wojskowych. Ponieważ przez miasteczko, którego był właścicielem, szła bita szosa, a nią często przechodziło wojsko, więc pan Tyberjusz uważał za swoją powinność i obywatelską zasługę łowić wszystkich podróżnych oficerów i w pałacu swoim hojnie ugaszczać. Żaden z sąsiadów nie postał u niego, częścią dlatego, że żadnego z nich nie zaprosił, a częścią téż dla atmosfery jego domu, która dla szlachty była nieznośną.

Pan Tyberjusz jednak w lejtnanckim swoim mundurze nie czuł tego braku przyjaźni i estymy sąsiedzkiéj. Przeciwnie, zdawało mu się, że takie zerwanie ze stosunkami sąsiedztwa należy do pewnéj dystynkcji.

Między ułowionymi w marszu przez miasteczko wojskowymi, którzy dobrym objadkiem nigdy nie gardzili, były także znakomite imiona niemieckich książąt udzielnych, jak naprzykład: Lichtenstein, Hohenlohe, Reuss, Schleitz, Sigmaringen, Zwei-

brücken i t. p. Jakkolwiek były to linje bardzo dalekie od panujących dynastji, pan Tyberjusz wierzył jednak zawzięcie, że miał do czynienia z rodowemi znakomitościami Europy, chociaż te najczęściéj po ostatnim kieliszku „chasse-café“ zupełnie o nim zapominały!

Przy tak znakomitych europejskich stosunkach patrzył pan lejtnant Tyberjusz z litością i pogardą na otaczające go dworki szlacheckie i co rok kazał rozszerzać fosę park jego otaczającą, aby jak najwybitniéj okazać, że z całą okoliczną ziemią, z jéj tradycjami i potrzebami nie ma nic wspólnego.

Okazałe towarzystwo imion dynastycznych natchnęło go teraz pewną zbawienną myślą. Była to rzecz bardzo słuszna. On dla tego towarzystwa wyrzucał krocie odziedziczone po ojcu-legjoniście, dlaczegóż to towarzystwo nie miało w zamian dać mu choć jednéj myśli zbawiennéj?

Otóż pan lejtnant Tyberjusz przyszedł do tego przekonania, że żona jego najweselszą zdaje się być w tém dystyngo-

waném towarzystwie. Zaczął więc starannie badać, co właściwie stanowi ten urok, jakim to towarzystwo czaruje panią Idę, i doszedł do tego przekonania, że tytuł i mundur lejtnanta nie wystarcza wyższéj kobiecie.

Z myślą tą zbawienną zwierzył się nawet raz w melancholijnym napadzie księdzu proboszczowi, którego w braku jakiego oficera na obiadek do siebie ściągnął.

— Bardzo słusznie pan mówisz — odparł rozradowany proboszcz — tytuł i mundur lejtnanta to dla pana zamało, a dla syna legjonisty, to jeszcze mniéj niżeli mało. Każda kobieta lubi wyższość i za nią przepada. Trzeba się jakoś wywyższyć nad poziom ludzi pospolitych. Środki masz pan potemu. Majątek, ładne nazwisko i tradycja po ojcu mogą panu ułatwić zaszczytne stanowisko w kraju. A kraj nasz potrzebuje dzisiaj tylu pracowitych robotników, a gdzież ich szukać jeśli nie w obozie, z którego wychodzili w pole walki wielcy ludzie tego samego nazwiska, które pan nosisz!.. Kobiety lu-

bią takie godła wyższości i ręczę panu, że pani Ida....

Szczęśliwy pan Tyberjusz nie dał proboszczowi dokończyć. W zapale uściskał go i ucałował, że tak doskonale myśl jego odgadł i przyrzekł mu, że z jak największą gorliwością będzie odtąd szukał wyższego stanowiska w kraju.

I dotrzymał słowa. Biorąc przykład z otaczającego go towarzystwa, postanowił wszelkiemi siłami i w jak najkrótszym czasie postarać się najprzód o konfirmację urzędową narzuconego mu przez współbiesiadników i głodnych urzędników obwodowych tytułu grafa, potém sięgnąć po jaką dekorację, niemniejszą jednak jak order Leopolda, a na najwyższéj gałązce tego *chrystbaumu* marzeń swoich, zawiesił — klucz szambelański!.. Klucz ten miał mu otworzyć podwoje nieba i uczynić go najszczęśliwszym z ludzi!

Ta święta trójca marzeń jego prowadziła go oczywiście do téj wyższości, o jakiéj mówił mu ksiądz proboszcz, a za którą przepamają dać piękne kobiety o dłu-

gich, aksamitnych spojrzeniach, jakie właśnie miała Ida...

Zdobywszy tak zaszczytne stanowisko, miał się przejednać z tradycją ojca, który klejnot swój wysoko stawił, i na starożytném drzewie genealogiczném zawiesić nowe olśniewające zaszczyty i honory!...

Tak wielkich rzeczy miał dokazać pan lejtnant Tyberjusz, syn ś. p. Marka Aureljusza, żołnierza Kościuszkowskiego i towarzysza jenerała Dąbrowskiego.

XIX.

Festyn dzisiejszy miał w tych marzeniach pana lejtnanta Tyberjusza stanowić wielką epokę.

Na inspekcję rozłożonych w okolicy garnizonów zjechał z Wiednia jenerał, który w jednéj osobie mieścił aż dwa dynastyczne nazwiska, Hohenzollern-Sigmaringen! Pan lejtnant Tyberjusz przedstawił mu się jako właściciel miasteczka i pałacyku, i z subordynacją lejtnancką błagał o łaskawe przekroczenie progów rodzinnych ś. p. ojca legjonisty, który był przyjacielem Kościuszki i Dąbrowskiego. Jenerał dwojga nazwisk dynastycznych patrzył długi czas na lejtnanta Tyberjusza, a że w mieście prócz żydowskiéj gar-

kuchni żadnéj porządnéj restauracji nie było, przyjął więc zaproszenie jedynego syna ś. p. legjonisty.

Wielki ten splendor poruszył wszystkich w całym pałacu. Powysyłano sztafety do dwóch miast obwodowych po znakomitych gości i jak najdroższe bakalje. Pełnemi garściami wyrzucano pieniądze, które pochodziły z funduszu dawnéj rzeczypospolitéj i jéj wyłącznym celom służyć miały. Zato marzył dzisiaj pan lejtnant Tyberjusz, że za protekcją tak wysokiego gościa zdoła wzbić się na to wyższe stanowisko, o którém tak wymownie prawił ksiądz proboszcz...

I widział już siebie w duchu zaregestrowanego drobnym drukiem w almanachu gotajskim, widział na piersi swojéj znakomitą dekorację, jeśli nie złotego runa, to przynajmniéj Leopolda — a w dalekiéj swéj perspektywie kołysał się wdzięcznie klucz szambelański i nieodstępne od tego klucza trzy złote guziki na prawéj patce ciemno-zielonego fraka poniżéj biodra...

Zaiste był to dzień wielki, jaki rzadko bardzo wydarza się w dziejach ludzkości. Wysoki protektor miał być otoczony tém wszystkiém, co tylko jakimkolwiek blaskiem w okolicy świecić mogło. Towarzystwo to miało być dla tegoż protektora niezbitym dowodem, że pan lejtnant Tyberjusz zasługuje stanowiskiem swojém, aby go przyjąć, chociażby tylko dla miłego spokoju domowego, do tych wszystkich zaszczytów, jakie dla swego szczęścia uważał za konieczne.

Czy pani Ida podzielała te marzenia swego męża, trudno o tém zawyrokować. Nie wiedzieć nawet, czy ją przypuścił do tych tajemnych zamiarów swoich, czy chciał jéj przyjemną i ożywioną sprawić niespodziankę.

Pani Ida była ciągle smutna. Nikomu nic nie mówiła, przed nikim się nie skarżyła. Skarżyły się jednak jéj oczy duże, szklistą powłoką rozświecone, któremi z dziwną melancholją wodziła po francuzkich dywanach salonu...

A smutek jéj datował się, według ze-

branych wiadomości, od niedawnego czasu. Dotąd była wesoła, żywa, tańcująca. Nagle stał się dziwny wypadek. Rotmistrz od huzarów, nader przyjemnéj twarzy mężczyzna, przywiózł jéj z obwodowéj księgarni kilka francuzkich romansów. Po przeczytaniu tych fatalnych książek, dowiedziała się pani Ida, że jest — nieszczęśliwą, niezrozumianą kobietą.

I rozpoczęły się cierpienia i spazmy niezrozumianéj kobiety, któréj teraz nikt w całym pałacu, zacząwszy od najmłodszéj panny służącéj aż do samego pana lejtnanta Tyberjusza nie mógł zrozumieć.

Nieszczęście jeszcze chciało, że rotmistrz od huzarów musiał odejść na Bukowinę, i tym sposobem wyschło jedyne źródło, z którego pochodziły francuzkie książki do czytania. Pani Ida zaczęła się więc nudzić, strasznie nudzić, i z każdym dniem wpadała w tém większą i czarniejszą melancholję.

Nie mogła nawet naśladować żadnéj z bohaterek przeczytanych romansów. Otoczenie nie dostarczało jéj wiele materjału

do tego. Jakkolwiek mundury były świetne i błyszczące, pod mundurami jednak nie było takich serc, o jakich czytała w książkach francuzkich. Byli to najczęściéj ludzie prości, albo życiem i towarzystwem tak zepsuci, że tylko w najskrajniejszém prostactwie szukali jeszcze jakiegoś smaku. Dla kobiety wychodzącéj może po raz pierwszy ze szranek swoich, nie było to wcale ponętą. Przeciwnie napawało ją pewną odrazą, i byłoby ją niezawodnie zatrzymało na stanowisku godności kobiecéj, gdyby w niéj saméj nie nurtował największy wszystkich kobiet nieprzyjaciel, jakim niezaprzeczenie jest — wyobraźnia!

Dla złagodzenia swego nieszczęścia nie mogła pani Ida w świecie rzeczywistym wynaleźć modelu dla swego ideału, którego każda kobieta potrzebuje, a którym po bliższém obejrzeniu nie mógł być pan lejtnant Tyberjusz.

Wyobraziła więc sobie taki ideał i starannie zasłoniła go koronkami. W niego patrzyła, do niego wzdychała, a nawet w objęciach męża o nim tylko marzyła.

Z pod koronek można nawet było dojrzeć nieco jego rysów. Ponieważ pani Ida była brunetką, ideał jéj miał być blondynem. Miała oczy czarne, on więc miał niebieskie. Prócz tego miał mieć cerę delikatną, usta różowe i maniery pańskie.

O takim ideale marzyła pani Ida, gdy pan lejtnant Tyberjusz postanowił w sekrecie zasymilować się z tym ideałem przez prawny nabytek tytułu tymczasowego, udekorowanie swojej piersi i zawieszenie poniżéj biodra klucza szambelańskiego. Wtedy mógł śmiało liczyć na to, że Ida twarz swą smutną rozweseli.

Chwila ta stanowcza właśnie nadeszła. Inaugurował ją komisarz Pandraczek i landsdragon Johan.

Zaraz po komisarzu, który tymczasem pośpieszył uporządkować swoją toaletę, zaczęli się goście zjeżdżać. Z trzech stron zjechało się naraz trzech komisarzy różnego autoramentu z dodatkiem krajsfizyka, który w pięć minut po nich przyjechał. Wojskowi, u których jenerał już był na inspekcji, przybyli także. Inni

mieli wraz z jenerałem przyjechać. Księdza proboszcza nie było, bo pan lejtnant Tyberjusz wyraźnie go prosił, aby nie przychodził, bo towarzystwo dzisiejsze będzie złożone z samych świetnych osobistości, śród których nie będzie mógł sobie dać rady.

Wreszcie koło godziny czwartéj z południa przybył wysoki gość z licznym orszakiem oficerów.

Nastąpił krzyk, hałas i zamieszanie w całym pałacu, jakiego jeszcze nigdy nie było! Była to wielka kampanja pana lejtnanta Tyberjusza. Pot lał mu się z czoła, oczy poczerwieniały. Kłaniał się gościom, poszturkiwał służących, a których dosięgnąć nie mógł, karcił ich tak wyrazistą mimiką, jakiéj pozazdrościłby mu pierwszy komik sceny nadwornéj. Słowem, syn ś. p. legjonisty był dzisiaj w wielkiéj epoce swego życia!

Zastawiono przekąskę przedobiednią, z którą szary koniec gości sprawił się prawdziwie po żołniersku. Z objadem czekano na starostę, po którego posłano no-

wą karetę wiedeńską. Lejtnant Tyberjusz liczył bardzo wiele na efekt, gdy do salonu wejdzie starosta. Był to zawsze pierwszy urzędnik obwodu, a obecność jego rzucała na pana lejtnanta Tyberjusza splendor niemały.

Pani Ida starała się zabawiać jenerała, który miał twarz bardzo znudzoną. Przyjechał już w złym humorze, bo w garnizonach nie zastał takiego militarnego ducha, jakiego się spodziewał. Jeden np. huzar miał guzik u dolmana krzywo zapięty i musiał za to cieleśnie być strofowany. Drugi miał włosy o ćwierć cala daléj ponad oczy spuszczone, jak był przepis. U jednego z młodych oficerów zastał pod szyją zamiast czarnéj obwódki, zwykłą chustkę jedwabną, co oczywiście jasnym było dowodem, że armja jest w rozstroju, i że pierwszy lepszy nieprzyjaciel pobić ją może!

Jenerał był podczas rozmowy z panią Idą smutny i zamyślony. Upadek ducha armji trwożył go i niepokoił. Ida także nie była w swoim humorze. Najprzód zna-

komity gość był stary i tak fenomenalnie brzydki, że wewnętrzny jéj ideał cofnął się przed nim na milę, i wraz z sobą wszystkie zmysły Idy pociągnął.

Lejtnant Tyberjusz z wielkim niepokojem wyglądał przez okno, wychodził na ganek i wysyłał posłańców na kopiec graniczny, zkąd można było najdaléj dojrzeć.... Starosty jednak i karety wiedeńskiéj nie było widać.

Wreszcie w oddziale wojskowym okazały się oznaki niecierpliwości. Niektórzy patrzyli na zegarki, drudzy krząkali. Urzędnicy ocierali sobie nosy, co miało być także oznaką niecierpliwości.

Starosty jak nie ma, tak nie ma!

Wreszcie i jenerał po długiéj pauzie w rozmowie skierował głowę ku drzwiom jadalnego pokoju, co pan lejtnant Tyberjusz z wielką rozpaczą zauważył.... a starosty ani widać!

W salonie groziło wszystko powszechnym rozstrojem. Przy głodnych żołądkach, przy tak długiém wyczekiwaniu dymiącéj się wazy, wszelka rozmowa ustała Cisza ja-

kaś złowieszcza rozległa się w koło, jak w przededniu wielkiéj, nieodgadnionéj katastrofy. I rzeczywiście było coś w atmosferze, co groziło istotną katastrofą..

Ida czuła głośniejsze bicie serca, mąż miał wyraźne uderzenia do głowy. Pandraczek słyszał nieustanne dzwonienie w lewém uchu, co mu niechybne nieszczęście wróżyło!

Po długiéj, nieskończenie długiéj godzinie wpadł zadyszany stajenny na ganek z okrzykiem:

— Kareta jedzie!

— Starosta jedzie! — zawołał rozpromieniony gospodarz i wyskoczył na ganek.

— Starosta jedzie! — zawołali komisarz i krajsfizyk i wyszli także na ganek.

W salonie została tylko pani Ida z jenerałem i reszta wojskowych, którzy nie uważali za rzecz stosowną składać na ganku uszanowania swego urzędnikowi cywilnemu.

Wreszcie stanęła kareta przed gankiem.

Najprzód przyskoczył do drzwiczek Pandraczek z jednéj strony, a z drugiéj stał

już pan lejtnant Tyberjusz. Oderwali drzwiczki i pochylili kornie głowy do ziemi, jak ongi Mojżesz przed krzakiem płonącym.

— *Willkommen! willkommen!* — zawołali obaj, nie podnosząc oczu z ziemi.

Siedzący w karecie młody mężczyzna zmięszał się nieco na widok takiego przyjęcia, ale wnet oprzytomniał i z uśmiechem na ustach podał ramiona stojącym przy drzwiczkach.

Rzecz ta odbyła się tak prędko, że ani pan lejtnant Tyberjusz, ani komisarz Pandraczek nie spostrzegli odrazu, że zamiast pana starosty wysadzili z karety zupełnie obcego człowieka, którego nigdy w życiu nie widzieli! Dopiero teraz, gdy go ujrzeli stojącego na ziemi, obaczyli błąd swój i osłupieli!

Był to dobry nasz znajomy z Ruskiéj ulicy — pan Zefir.

— Proszę mi wskazać gospodarza tego domu, — rzekł nader grzecznie do osłupiałych spektatorów.

— Ja jestem, — odrzekł przestraszony pan lejtnant Tyburcy.

— Jestem Gustaw Kiernicki, — mówił gość przybyły, — obywatel z Poznańskiego. Jadąc na Podole do krewnych, miałem tu niedaleko przypadek. Pocztyljon złamał koło. W tém nadjechała próżna kareta pana dobrodzieja, która miała starostę na objadek przywieźć. Od furmana dowiedziałem się, że starosta zaskoczony jakimś pilnym interesem, odmówił przyjazdu, korzystałem więc z téj sposobności, a chociaż zawiedzionych nadziei moją osobą nie wynagrodzę, jednak ufając tradycji gościnności polskiéj, śmiało pukam do niéj!

Ta przydługa nieco przemowa pozwoliła gospodarzowi i komisarzowi przyjść nieco do siebie. Zawiedziony gospodarz nie wiedział zrazu co powiedzieć. Jakaś dziwna trwoga ściskała go za gardło.

— I owszem... — wybąknął po chwili,— miło nam będzie... tylko muszę panu oznajmić... że mam większe towarzystwo dzisiaj u siebie... przyjaciół, samych przyjaciół...

— Rozumiem, — odparł z uśmiechem pan Zefir, który się nagle w światowego człowieka przedzierżgnął, — rozumiem, co pan chcesz powiedzieć. Wskaż mi pan tylko jaki pokoik w oficynie, a za dwie minuty przedstawię się gościom pana i przyjaciołom.

Słowa te wymówił pan Zefir takim pańskim tonem, i takim dystyngwowanym gestem dał rozkaz lokajowi, aby kufer wyjął zpod siedzenia stangreta, że ani pan lejtnant Tyberjusz, ani komisarz Pandraczek nie mieli pod ręką żadnéj innéj odpowiedzi, któraby życzeniom gościa w drodze stanąć mogła.

Jeden i drugi miał tylko jakieś dziwne ściśnienie serca.

XX.

Za kilka minut siedział pan Zefir w eleganckim fraku przy stole, a dziwnym sposobem siedział przy saméj pani Idzie. Siadający do stołu oficerowie zostawili wolne to miejsce, bo nie wiedzieli, kto przyjdzie.

Pan Zefir przeszedł dzisiaj siebie. Mówił bardzo wiele, opowiadał o sąsiedzkich ploteczkach w Poznańskiém, a opowiadał w sposób tak zachwycający, że wszyscy z przyjemnością go słuchali.

Pani Ida rzucała na niego bardzo często powłóczyste swoje spojrzenia. Za każdém spojrzeniem wydawał się jéj podobniejszym do zakrytego idealiku. Wtedy pierś jéj wzdychała lekko i nieznacznie...

Jenerał mało mówił, tylko jadł i pił

jakby był w restauracji. Nie zadawał sobie bynajmniéj pracy ani gospodyni bawić, ani gospodarzowi jakie słówko rzucić. A gdy po ostatnim kieliszku *chasse-café* wąsy otarł i cygaro zapalił, kazał konie zaprządz, gospodarza i gospodynię dwoma słowami pożegnał i odjechał.

Pan lejtnant Tyberjusz wrócił z ganku smutny i zamyślony. Spodziewał się, że wyrzucone na traktament znaczne pieniądze lepszy zrobią efekt. Jenerał był zimny i trzymał go zdala od siebie, starosta nie przyjechał, a natomiast wcisnął się jakiś człowiek, który nie był ani komisarzem obwodowym, ani oficerem od konnicy.

W salonie jednak dopiero po wyjeździe jenerała zaczęła się zabawa ożywiać. Jenerał widocznie ciężył na gościach. Nawet pani Ida wygładziła piękne czoło swoje i ustroiła się w uśmieszek, jaki tylko w zbyt szczęśliwych chwilach gościł na jéj ładnéj twarzyczce.

Wypito ze wszelką skrupulatnością resztę win i likierów, pozapalano cygara i zaproponowano karty.

— Czy pan grywasz w karty? — zapytała gościa pani Ida i wysłała z pod długich rzęs drugie, tajne zapytanie.

— Nie grywam wcale, — odparł pan Zefir, chwytając zręcznie drugie zapytanie, — wyjąwszy, jeśli konieczność...

— To pan nie lubisz nic ryzykować?.. Nie lubisz pan upajać się nadzieją a drżeć trwogą?..

— I owszem, to mój żywioł, bez niego życia nie rozumiem, może nawet w téj chwili, gdy do pani mówię...

Pani Ida spojrzała na mówiącego z całą umiejętnością kobiety, która w spojrzenia swoje wszystko włożyć umié, wytrzymała go chwilkę pod tém spojrzeniem i rzekła potém z uśmiechem:

— Tymczasem siadaj pan do gry w karty! Komisarz Pandraczek już czyha na pana!

Po tych słowach wykręciła się zgrabnie i odeszła do swego budoaru. Pan Zefir wykręcił się także i spotkał się twarzą w twarz z komisarzem Pandraczkiem, który właśnie mierzył go policyjném swojém okiem od stóp do głowy. Przybysz bo-

wiem z Poznańskiego wyglądał mu coś fatalnie podejrzanym.

— Może zrobimy partyjkę, — ozwał się do niego z obleśném spojrzeniem.

— I owszem, jeśli panu służyć mogę, — odparł pan Zefir ze swobodą bogatego człowieka.

Obaj usiedli przy bocznym stoliku. Ktoby ich myśli w téj chwili odczytał, dowiedziałby się, że ani jednemu ani drugiemu bynajmniéj o grę nie chodziło. Komisarz przedsięwziął sobie pod pozorem gry wybadać bliżéj nieznajomego człowieka, toż samo poczucie miał na myśli pan Zefir, który spostrzegł, że od samego objadu ma go komisarz na oku. Obaj więc, godni siebie zapaśnicy, usiedli naprzeciw siebie.

Z początku szła gra podług wszelkich reguł, powoli i spokojnie. Widać było, że grającym nie chodziło o wygraną. Mówiono przy grze wiele, bo komisarz był nader ciekawy stosunków wielkopolskich.

Nagle nastąpiła pewna dywersja. Trudno powiedzieć, czy to był przypadek,

czy głębiéj pomyślany przez pana Zefira planik, obliczony według wszelkich psychologicznych pewników.

Pan Zefir wyjął z kieszeni długą, włóczkową sakiewkę i niedbale rzucił na stół przed siebie. Sakiewka była dosyć rzadko robiona, a pomiędzy szerokie oka wyglądało — złoto holenderskie! A było tego złota wiele, bardzo wiele!

Oczy Pandraczka zajaśniały do złota. Pan Zefir widocznie źle grał. Dla komisarza była wszelka szansa.

Od téj chwili zmienił się zupełnie charakter Pandraczka. Przepadł w nim ajent policyjny, był tylko graczem, zapalonym, szczęśliwym graczem! Złoto holenderskie z sakiewki mrugało na niego jak najpiękniejsza czarnobrewa!.. Był to dla niego urok, któremu nigdy się nie oparł, jeżeli niezbyt zagrażał jego służbie.

A kiedy ta gra z różném szczęściem w głównym salonie się odbywała, miała pani Ida w swoim budoarze z zaufaną swoją panną-służącą dziwną konferencję.

Był zwyczaj u niéj, że każdy niezna-

jomy gość po oficjalném zaprezentowaniu się w salonie musiał jeszcze przechodzić przez pewne domowe formalności, zanim opinja o nim się ustaliła.

I tak panna-służąca lub lokaj mieli zlecenie, podczas gdy gość w salonie bawił, przejrzeć dokładnie pozostawione przez niego w oficynie rzeczy i zdać z nich raport jak najdokładniejszy. Z tych bowiem drobnostek sądzono potém, do jakiéj sfery towarzyskiéj może gość należeć i jaki stopień wykształcenia posiada. Najwięcéj wyrokowała w tym względzie cienkość bielizny, wykwintność podróżnéj toaletki, zresztą i inne przybory podróżne.

Stosownie więc do tego zwyczaju była panna-służąca w oficynie, obejrzała wszystko i przyszła z raportem.

— Cóż widziałaś? — zapytała ciekawie pani Ida, — tylko mów z wszelkiemi szczegółami.

— Wiele nie widziałam, — odparła panna-służąca, — bo główny kufer zamknięty, tak, że go nawet Johan nie mógł

na żaden sposób otworzyć. A Johan to przecież umie się z tém obchodzić, bo był ślusarzem.

– A co tam robił Johan? Czyś go naumyślnie zawołała po to, aby otwierał?

— Johana tam zastałam. Mówił mi, że szukał starego Szymona.

Nastąpiła teraz bliższa relacja o bieliźnie i przyborach podróżnych, która dosyć korzystnie wypadła.

— Prócz tego jest paczka książek. Johan oglądał te książki i czytał wszystkie tytuły.

— Ma książki w podróży! — pomyślała sobie pani Ida i zadumała się słodko, a uczony rotmistrz błysnął jéj przed oczyma...

— Czy nie znasz tytułów tych książek? — zapytała po chwili milczenia z dziwnym uśmieszkiem.

— Żadnéj nie ma zabawnéj, — odpowiedziała służąca, — jedna: historja polska, druga, dzieje Polski.

Pani Ida posunęła szkliste swoje oczy po dywanie i pomyślała sobie w duchu;

— Jest patrjotą polskim. Trzeba będzie z nim wiele o Polsce mówić... ba, jakże to mówić, czego się nie zna?..

I lekka, przeźroczysta chmurka zakryła jéj piękne czoło. Myślała tak chwil kilka. Nagle wstała i rzekła:

— Idź do księdza proboszcza, niech mi na parę dni pożyczy książek z takim tytułem, o jakim mówisz.

Zdziwiona nieco służąca odeszła, aby wypełnić rozkaz pani, a Ida rzuciła się na sofę dziwnie rozmarzona, jaką jeszcze nigdy nie była...

Podobną konferencję po skończonéj grze odbył komisarz Pandraczek z Johanem.

Dla wypoczynku bowiem zaprzestano gry, a komisarz wyszedł do swojéj izdebki szczęśliwy i rozpromieniony. Wygrał pięć dukatów holenderskich, a gruba sakwa obiecywała mu jeszcze więcéj.

— *Herr Commissär*, — rzekł do niego Johan zaraz na wstępie, — zdaje mi się, że mamy jakiegoś ptaszka!

— Co za ptaszka? — ofuknął go Pandraczek, któremu w téj chwili zdawało

się, że Johan odbierze mu tę złotem wypchaną sakwę, którą właśnie w marzeniu się pieścił. — Co za ptaszek? czy ci się przyśniło?

— Ten pan, co w karecie przyjechał, *Herr Commissär!*... — replikował landsdragon.

— Przywidziało ci się i kwita! To obywatel z Poznańskiego. Zapewne ma paszport pruski...

Johan pokręcił głową. Posunął kilka razy po czole pomarszczoném i odrzekł:

— *Hat polnische Bücher!* Historja, Dzieje *und so etwas!*

— *Was* Historja? *Was* Dzieje? *Bist verrückt Johann?* Mówisz od rzeczy!

Johan nic na to nie odpowiedział, bo z komisarzem, według wojskowego rygoru, nigdy się nie sprzeczał. Był jednak pewny siebie, i postanowił w duchu patrzyć na wszystko i w końcu komisarza przekonać.

Jakkolwiek komisarz stanowczo wszelkiego podejrzenia Johanowi odmówił, ozwało się jednak coś w jego duszy, co

już dawniéj podczas objadu był zasłyszał. Przeczucie to szczególne straciło wprawdzie podczas gry bardzo wiele, a nawet po schowaniu pięciu dukatów i rozbudzonéj na resztę nadziei, zupełnie ucichło. Teraz złowrogie słowa landsdragona znowu je zbudziły. Po bliższém jednak zastanowieniu się upadły znowu wszelkie podejrzenia, tém bardziéj, że obywatel wielkopolski nader grzecznie do kontynuowania gry po herbacie go zaprosił.

Herbata i gra zakończyła się, goście po większéj części powyjeżdżali, zostali tylko domowi, gość z Wielkopolski i komisarz Pandraczek z Johanem. Cały pałac obumarł nagle, jak paralityk obudzony na chwilę sztuką do życia.

Ciemna, smutna noc rozpostarła ponad ziemią czarną swoją oponę. Ubogie miasteczko zasypiało rozkosznie w biedzie i nędzy swojéj, która na jawie nie dawała mu chwili spokojnéj. Dziedziczny pan jego, którego herb lśnił się na froncie kościoła przez antenata zbudowanego, zapomniał teraz o biednych mieszkańcach,

którym winien był opiekę i przykład pracy pożytecznéj. Portret ś. p. legjonisty wisiał w przedsionku kościoła, jakże tam teraz obok ojca zawiesić konterfekt syna w mundurze lejtnanta?.. A zresztą czémże był ten lejtnant dla miasteczka?

W pałacu tylko w dwóch oknach widać było jeszcze światło. Jedno należało do komisarza Pandraczka, drugie do sypialnéj komnaty pani Idy. W izdebce Johana także coś błyskało, ale tylko chwilami.

Pandraczek rzeczywiście nie spał jeszcze. Johan znowu zaniepokoił go różnemi uwagami o gościu z Wielkopolski. A sytuacja była teraz wcale inna. Komisarz nietylko przegrał owe pięć holenderskich dukatów, ale w zapale rewindykacji stracił jeszcze dziesięć guldenów. Słusznie więc gniewał się na Johana, który gwałtem chciał podejrzanego gościa *brevi manu* w dyby okuć. Gdyby posłuchał rady Johana, musiałby się pożegnać ze swemi guldenami, jak téż i z owych pięciu dukatów zrezygnować, które przez kilka godzin w jego sakiewce spoczywały.

A było wszelkie prawdopodobieństwo, że przy jutrzejszéj grze może odebrać swoje guldeny wraz z procencikiem w złocie holenderskiém. Potém mógł i tak każdéj chwili aresztować podejrzanego człowieka.

Taki planik ułożył sobie komisarz Pandraczek, a zaleciwszy Johanowi niektóre środki ostrożności, zagasił świecę i położył się spać, jak to czynią ludzie spokojnego sumienia. Nie zważał nawet na to, że w téj chwili stolik dębowy trzasnął głośno, co u ludu zawsze jest przepowiednią blizkiego nieszczęścia.

Drugie oświecone okno należało do sypialnéj komnaty. Na pysznéj łożnicy pod baldachimem z adamaszku leżała pani Ida z całym urokiem zakochanéj nimfy. Jéj białe, pięknie zaokrąglone ramiona tonęły w puchowych poduszkach, a krucze włosy wymykały się ciekawie z pod koronkowego czepeczka o wstążkach pąsowych. W drobniutkiéj rączce trzymała brudną, bibulastą książkę polską, którą służąca od proboszcza przyniosła, i suwała po niéj swe szkliste czarne oczy z widoczném zajęciem.

Zdaje się, że podobną książkę pierwszy raz miała w ręce... A po każdym rozdziale spoczęła chwilę, zamarzyła słodko i powtarzała w myślach:

— On ma polskie książki... trzeba z nim coś o polskich rzeczach mówić!

I prześliczne, aksamitne oczy posuwały się znowu po brudnym, bibulastym papierze...

Johan nie spał także, ale był ostrożniejszy ze światłem. Postawił koło siebie latarnkę blindowaną, z którćj wtedy tylko światło wychodziło, gdy fajkę zapalał. Leżał na sienniku w pełnym mundurze i myślał ustawicznie:

— *Hat polnische Bücher! Verdächtiges Individuum! Muss arretirt werden!*

Pan lejtnant Tyberjusz nie spał także; ale światła nie świecił, bo nie był nigdy jego zwolennikiem. Jakieś niedobre uczucie nie pozwalało mu zasnąć. Zrobił bilans z dnia dzisiejszego i nie był z niego kontent. Spodziewał się po wydatkach takich lepszego efektu. Szampan lał się po stole, na potrawy składały się wszystkie

części świata, a jenerał otarł po nich wąsy z taką obojętnością, jakby jadł obiad w lichéj restauracji, Tylko gawiedź objadowa zajadała z rozkoszą...

Gość z Wielkopolski nie przyczynił się także do polepszenia humoru. Wprawdzie nie miał on nigdy zwyczaju podobnych gości do pałacu przyjmować, ale to należało do zakresu służby lokaja. Lokaj odmawiał w bramie takiemu gościowi wprost wszelkiéj gościnności. Wielkopolanin zaś pominął lokaja i w tak wyjątkowy sposób przedstawił się jemu, że przy obcych niepodobna było odmówić mu przyjęcia. Do tego pan lejtnant Tyberjusz nie grzeszył zbytnią odwagą cywilną i w takim razie okazywał się zawsze uległym, choćby to wprost jego zasadom się sprzeciwiało.

Gdy zebrał to wszystko razem, dzień dzisiejszy okazał się dla niego dniem feralnym. Cieszył się tylko, że z dwunastą godziną w nocy każdy dzień się kończy. A właśnie w téj chwili w drugim pokoju zaczął zegar bić tę godzinę fatalną...

Pan lejtnant Tyberjusz wstrzymał oddech i zaczął liczyć uderzenia zegaru... Z uderzeniem dwunastém chciał swobodniejszą piersią odetchnąć, ale nie mógł, bo na piersi siedziała jakaś zimna zmora.

XXI.

We dwa tygodnie po tym niefortunnym bankiecie pana lejtnanta Tyberjusza wychodził Skałobrodzki z biura pocztowego z listem, który starannie do bocznéj kieszeni schował, i śpiesznym krokiem podążył na ulicę Halicką.

Przyszedłszy do domu, zamknął drzwi od pokoju Anny, która właśnie na fortepianie grała i wziął się do czytania.

List miał adres jakiegoś żydka faktora i był zewnętrznie zupełnie do takiego dokumentu podobnym. Miał kopertę z sinego papieru, nader niezgrabnie złożoną i jak najpodlejszym lakiem mocno pokapaną.

Skałobrodzki otworzył tę kopertę, wydobył list na cienkim papierze i zaczął czytać:

— „Szanowny panie dobrodzieju i opiekunie ludzkości! Za przysłane pieniądze i kufer z rzeczami bardzo wdzięczny jestem, bo jeżeli aktor skutecznie w swoich rolach ma występować, to musi mieć środki do należytego ucharakteryzowania się. Ale mniejsza o ucharakteryzowanie się zewnętrzne. Frak od pierwszego krawca Kulczyckiego, buty lakierowane od Szpilczyńskiego i rękawiczki francuzkie za pięć franków wystarczą zupełnie, aby każdego głupca zewnętrznie zrównać z uprzywilejowanymi gośćmi najpierwszych salonów naszych. Nawet i w głowie nie trzeba mieć nadzwyczajnych porządków. Kilkanaście frazesów francuzkich pokrywają wszelkie niedostatki.

Nie tak jednak łatwą jest moja rola w skromniejszych dworkach szlacheckich. Tam trzeba nietylko ucharakteryzować się zewnętrznie stosownie do roli, ale trzeba także mieć stosowne do tego zasoby wewnętrzne!

Wyobraź sobie szanowny opiekunie moje wielce kłopotliwe położenie w tym względzie!

Przyjeżdżam do jakiegoś opasłego księdza proboszcza, aby na tłustym wikcie jego trochę się odżywić. W takich razach występuję wprost w mojéj roli. Proboszcz otworzył mi serce i plebanję wraz ze swoją śpiżarnią i dobrze zaopatrzoną piwniczką. Ucałowałem patrjotycznego kapłana i rozgościłem się.

Zrazu świeciło mi słońce jasne. Objadek był dobry, winko wyśmienite. Tłusty proboszcz mówił bardzo wiele o różnorakich sposobach przyrządzania pieczeni. Mówił także o marynowanych rydzach i pytał mnie, który wprost z Paryża do niego przyjechałem, czy i w tym nowym Babilonie jedzą rydze marynowane, czy tylko same trufle...

Na takie pytania mógłem szeroko i wymownie odpowiadać i byłbym najszczęśliwszym z ludzi na wikcie tłustego proboszcza, gdyby pod wieczór licho nie nadniosło chudego wikarego, który właśnie z miasta przyjechał.

Chudy wikary, dowiedziawszy się kto jestem, zaczął ze mną rozmowę o ostatniém powstaniu polskiém w listopadzie a skończył o drugiéj godzinie po północy o pierwszém zaprowadzeniu wiary chrześćjańskiéj do Polski...

Zrozumiesz szanowny opiekunie moje opłakane położenie. Osiem godzin pociłem się jak student na egzaminie, który nigdy żadnéj lekcji się nie uczył! Osiem długich godzin byłem jak na torturach, bo to wszystko, co wikary mówił i o co mnie się pytał, było dla mnie bajką o żelaznym wilku! A nawet i tłusty proboszcz, rozruszany przez chudego wikarego, wtrącał od czasu do czasu swoje trzy grosze, które jak ostry rożen lazły mi pod same żebra...

Chudy wikary, mówiąc o panslawistycznych uroszczeniach schizmatyckiéj Moskwy, chciał koniecznie dowiedzieć się odemnie, czy się zgadzam z jego zdaniem, że książe litewski Jagiełło (który miał potém zostać królem polskim) ochrzczony był na wiarę katolicką z poganina, a nie jako wyznawca

wschodniego obrządku, jak to utrzymują moskiewscy historycy.

Zaiste dla mnie, który o Jagielle jako żywo nic nie wiedziałem, było to zadanie nader trudne. Pot lał mi się strumieniem z czoła, w gardle stawały mi kołkiem słowa. Potrzeba było tak odpowiadać, aby się nie zdradzić, bo jużci wysłannik historyka Lelewela nie mógł okazać, że jak w rogu nic o Jagielle nigdy w życiu nie słyszał!..

Po drugiéj godzinie po północy, gdy już z sił opadłem i tylko jeszcze potakiwaniem głowy znak życia dawałem, zapowiedział mi chudy wikary, że jutro obszerniéj będzie ze mną mówił o spójni politycznéj czeskiego i polskiego narodu w całym przebiegu historji, z których to symptomatów wzajemnéj atrakcji i w dzisiejszych politycznych robotach korzystać należy!... Pot śmiertelny wystąpił mi na czoło i rzekłem:

— Dobrodziej zapewne masz dużo książek polskich, kiedy tak pięknie mówisz!

— Mam trochę, — odparł z nietajoną

radością wikary, — ot kupuje się, o ile stać na to chudopachołka!

Przyznam się, że po raz pierwszy dowiedziałem się, że ludzie za polskie książki pieniądze wydają. I cóż to jeszcze za ludzie? Chudy wikary, który zjeść dobrze nie ma za co, kupuje książki polskie!..

Dziwne wrażenie sprawiło to na mnie i naprędce ułożyłem sobie planik.

Rozumie się, że jutrzejszéj rozmowy z wikarym o łączności czeskiego narodu z polskim czekać nie mogłem. Już Jagiełło dał mi się we znaki, a cóż dopiero Czechy, które tyle dla nas komisarzy obwodowych i starostów produkują!...

Za nic w świecie nie życzyłbym sobie, aby te osiem godzin egzaminu z historji polskiéj kiedykolwiek w życiu mi się powtórzyły! Jeszcze teraz na wspomnienie téj katuszy krew mi się w żyłach ścina!..

Ale koniec końców, egzamin podobny mógł mi się powtórzyć. Z wysłannikiem Lelewela bierze zawsze pokusa mówić o historji polskiéj. Potrzeba więc było przygotować się na podobne nieszczęście.

Wikary wspomniał mi, że ma polskie książki. Postanowiłem więc u niego resztę nocy przespać i niektóre z tych książek do mego kufra zapakować, aby w wolnéj chwili w nich się czegoś doczytać, co do méj roli czyli do wewnętrznego mego ucharakteryzowania się koniecznie jest potrzebném. Z polskim bowiem wysłannikiem o Polsce mówią...

Na drugi dzień rano, przed zapowiedzianą rozprawą historyczną, powiedziałem moim gospodarzom, że pewne tajemne powody każą mi natychmiast opuścić plebanję gościnną i przyjemne towarzystwo wikarego...

Po trzech skromnych półmiskach z mięsem, które u szanownego proboszcza śniadanko stanowiły, pożegnałem z boleścią gościnną plebanję wraz z jéj piwniczką wyśmienitą, włożywszy wprzódy za obraz świętego Jędrzeja „otwarty list do moich rodaków“ Józefa Zaliwskiego i kilka innych mniejszéj wagi papierków, jak to już panu w swoim czasie awizowałem...

Dowiedziałem się w kilka dni, że tłu-

sty proboszcz siedzi już w klasztorze pokarmelickim we Lwowie, a uczony wikary zawiózł mu tam całą bibljoteczkę swoją, aby się w niéj z nudoty rozczytywał...

Pojechałem do dzierżawcy znaczniejszego majątku. Myślałem sobie, że dzierżawca płacący drogo za kawał ziemi, nie będzie miał czasu czytywać książek i z nich potém gości egzaminować. Będzie mi mówił o nawozie i paszy, o burakach, a najwięcéj o gorzelni. A zresztą, gdyby nawet z obowiązku, że mówi do wysłannika z Paryża, coś o sprawy polskie potrącił, to byłem przekonany, ze to uczyni powierzchownie i mimochodem. Na ten cel miałem już pod ręką historję Polski, którą u chudego wikarego wziąłem i w któréj w wolnych chwilach rozczytywałem się.

Jakże jednak srogo i tu zawiedziony zostałem. Dzierżawca usiadł przy mnie z antypką w gębie i zaczął ze mną rozmowę o fałszywym Dymitrze i Marynie Mniszchównéj, i starał się mnie przekonać, że polityka polska już wtedy zwi-

chnioną była, ponieważ nie korzystała z chwili, w któréj można było całą Moskwą zawładnąć...

Znowu pociłem się, przeklinałem wszystkich tych, co książki polskie piszą, a uwolniwszy się wreszcie z tych tortur, czytałem w mojéj izdebce całą noc w książce wikarego, aby rano czémś opinję swoją poprawić.

Wyprosiwszy kilka do dziejów polskich odnoszących się książek, pożegnałem dzierżawcę, bo dłużéj nie mogłem tam popasać bez skompromitowania się. Przesiedziałem cały tydzień w małém miasteczku u żyda i uczyłem się jak student lekcji! Mój Boże! sam siebie nie poznaję! Uczyć się muszę teraz, czego pierwéj nie robiłem!

W miasteczku dowiedziałem się, że dziedzicem jego jest człowiek, który w mundurze lejtnanta chodzi, urzędników i oficerów karmi i nigdy po polsku nie mówi. O żonie jego także coś podobnego słyszałem. Myślałem, że to będzie port mego szczęścia. Jakże srogo zawiodłem się, a

zawiodłem się tam, gdzie się najmniéj spodziewałem.

Po smacznym objadku czy raczéj bankiecie, po nocy przegranéj w karty z komisarzem obwodowym, zaprosiła mnie pani domu do swego saloniku na gawędkę przedobjednią. Notabene nie przyznałem się tu do mojéj roli.

— Czy pan sądzi, że Prądzyński miał słuszność, doradzając wziąć za linję operacyjną... — rzekła do mnie pani Ida po niejakim wstępie do powstania polskiego z r. 1830.

O mało co z krzesła nie spadłem. Ugryzłem kawałek paznogcia i odrzekłem:

— Operacyjna linja... każda linja operacyjna jest dobrą, byle należycie spożytkować jéj korzyści... Linja Prądzyńskiego była linją dobrze pomyślaną, ale miała wszystkie te niekorzyści, które ma każda zwykła linja, do któréj namaczane pióro nieostrożnie przykładamy... to jest — zaleje się!

Pani Ida uznała wprawdzie moją uwagę za genjalną, przeszła jednak z szybko-

ścią swoich spojrzeń do obrony Warszawy, przez jenerała artylerji Bema, który miał nadzwyczaj celnie strzelać... Mówiła przytém o reducie Ordona, o Sowińskim kulawym i tym podobnych dla mnie bajkach o żelaznym wilku...

Szczęściem, że komisarz obwodowy wywołał mnie do kart, aby się odegrać z wczorajszéj straty.

Widzisz więc szanowny opiekunie, że warunki naszéj umowy zmieniają się. Nietylko bowiem mam udawać wiadomą ci rolę, ale muszę jeszcze historyczne studja odbywać, o czém przy naszym układzie mowy nie było. Proszę więc o nadesłanie mi potrzebnych do tego książek, bo inaczéj będę musiał wrócić do mojego nicestwa. Tutaj dłuższy czas zabawię, a wkrótce prześlę raport obszerny."

Zaledwie Skałobrodzki ten list z uwagą przeczytał, wpadł do niego żydek rudobrody i wręczył mu małą, pomiętą karteczkę. Skałobrodzki odczytał kartkę, a twarz jego ospowata zasępiła się.

Odprawił żydka i długo chodził zamy-

ślony po pokoju. Czoło jego pofałdowało się, oczy świeciły niespokojnie. Wreszcie zatrzymał się, jakby jakąś myśl szczęśliwą pochwycił. Stał tak chwilę, potém otworzył drzwi do Anny.

Anna przestała właśnie grać na fortepianie. Założyła ręce na piersi i puściła wodze marzeniom...

A marzenia jéj były teraz z każdym dniem smutniejsze. Ujrzany przez małą szczelinę ideał gasnął coraz więcéj i rozpływał się w sinéj przeźroczy jak chmurka wiosenna. Szukała go na ulicy, szukała za kratą więzienną, szukała go grą o północy na fortepianie, a nie znalazła go nigdzie! Żadne nawet echo nie wypowiedziało jego imienia...

Kilka razy zaczęła rozmowę z ojcem o pięknym nieznajomym, ale ojciec urywał zawsze i niczego więcéj nie mogła się od niego dowiedzieć. Jerzy także nic nie wiedział i widocznie irytował się, gdy Anna w téj mierze chciała się czegoś od niego dowiedzieć. Milczał w takim razie i patrzył się w nią jak w obraz święty.

Smutną i rozmarzoną zastał ojciec Annę, gdy wszedł do jéj pokoju.

— Moje dziecię potrzebuje nieco rozrywki, — rzekł do niéj podgartując jéj włosy z czoła.

Anna pocałowała ojca w rękę i zostawiła na téj ręce łzę gorącą.

— Masz rozdrażnione nerwy, — mówił daléj ojciec, — trzeba ci trochę świeżego powietrza...

— Ach, gdzież tego świeżego powietrza dostać na ciasnéj uliczce! — odparła Anna z westchnieniem.

Ojciec milczał czas niejaki. Widok córki, którą nad życie kochał, napawał go zawsze jakiémś dziwném uczuciem.

— Przyszło mi właśnie do głowy, — ozwał się po chwili, — że mogłabyś świeżego powietrza użyć, a przy téj sposobności spełnić dobry uczynek... Odebrałem właśnie wiadomość o niebezpieczeństwie, jakie grozi pewnéj osobie...

Oczy Anny zaświeciły się. Wstała szybko z krzesła i z twarzą rozpromienioną rzuciła się na szyję ojca.

— Kochany ojczulku — rzekła do niego na pół ze łzami, — daj mi choć raz napoić serce moje jakiém szlachetném uczuciem! To znaczy więcéj, niżeli świeże powietrze!

— Niech co chcą mówią o mnie ludzie, — mówił ojciec, — niech mi zarzucają, że nie jestem gorącym patrjotą, że nie krzyczę, nie wołam po rogach ulic, ale co w ukryciu robię, tego nikt wiedzieć nie powinien!

— Mówisz ojczulku, że komuś grozi wielkie niebezpieczeństwo? — zapytała Anna, a twarz jéj już bladła.

— Tak jest... pewien człowiek, który przed kilkoma tygodniami wzywał mojéj opieki, jest w pewnym dworze już strzeżony przez landsdragona i lada chwila ma być aresztowany...

Twarz Anny spłonęła szkarłatem. Serce jéj uderzyło gwałtownie, bo dziwna myśl zaświeciła się nagle w jéj głowie.

— Trzeba go ratować, prędko ratować! — zawołała i chwyciła konwulsyjnie ojca za ręce.

— Ratować go trzeba, ale chodzi o plan. Zdaje się, że to najlepiéj w takim razie kobieta potrafi...

— Jakże ja sama z Małgorzatą... możeby ojciec z nami pojechał.

— Ja o tém nic wiedzieć nie mogę! Rozumiesz mnie Anno?

— Wiem już! Pan Jerzy pojedzie z nami. On taki zacny i poczciwy!

— Możesz się wreszcie z nim porozumieć... ale słuchaj moje dziecię: Ja o tém wszystkiem nic nie wiem! Wszystko to dzieje się bez mojéj wiedzy!...

Mówiąc to, ucałował córkę, któréj w téj chwili puściły się z oczu łzy obfite... łzy te były mimowolne i sprawiały jéj jakieś dziwne, rozkoszne uczucie...

XXII.

Serce Anny przeczuło słusznie, że to niebezpieczeństwo, o którém jéj ojciec mówił, groziło temu młodemu nieznajomemu, którego ujrzała przez drzwi niedomknięte. Nie przeczuła jednak, że groziło mu z dwóch stron naraz.

Kilka dni bowiem upłynęło Zefirowi w pałacyku lejtnanta Tyberjusza bardzo przyjemnie. Największą część dnia grał w karty z Pandraczkiem. Chroniło go to od niebezpiecznéj konwersacji z panią Idą o rzeczach polskich, która te godziny poświęcała czytaniu polskich książek, aby się czémś do wymarzonego swego ideału przybliżyć. Wysłała nawet w tym celu

żydka do miasta obwodowego, aby jéj z księgarni niektóre polskie książki, odnoszące się rzeczy krajowych, przywiózł.

Pandraczek zapalał się w grze coraz więcéj do złotem wypchanéj sakiewki. Nawiasem mówiąc, nie wszystko w téj sakiewce było złotem. Zefir bowiem, naśladując przebiegłych graczy, napełnił jedną połowę mosiężnemi znaczkami od gry, a w drugiéj nieco dukatów umieścił. Pandraczek wierzył jednak całą duszą, że sakiewka była pełna złota, które przy sprzyjającéj fortunie do jego kieszeni przenieść się może.

Wprawdzie kilka razy na dzień niepokoił go Johan, że właściciel téj sakiewki jest niebezpiecznym człowiekiem, ale Pandraczek myślał sobie, że ani państwo, ani sprawiedliwość nic na tém nie stracą, jeżeli tego niebezpiecznego człowieka odda w ręce sądu bez owéj sakwy, z któréj złoto grą uczciwą do niego się przeniesie. Przeciwnie człowiek ten niebezpieczny, idąc na utrzymanie rządu, nie potrzebował swego złota.

Do tego rozumowania przyczyniła się jeszcze i ta uwaga, że ten człowiek jest już jakby w areszcie, bo pod bezpośrednim jego dozorem. Każdéj godziny, każdéj chwili może tylko skinąć na landsdragona, a człowiek niebezpieczny będzie już w dybach. Tym sposobem uspakajał siebie i Johana.

Tymczasem fortuna była jakby na złość nader kapryśna. Jednego dnia zdawała mu się uśmiechać. Pracowicie zbierał w tym dniu po jednym guldenie, po dwa, a gdy się już spora kupka uzbierała, przechodziła jednym zamachem do pana Zefira. Biedny komisarz zaczynał znowu z góry pracę Syzyfa.

I tak mijał jeden dzień po drugim. Za tydzień przysłał mu starosta rozkaz tłómaczenia się, dlaczego tak długo bez żadnego skutku siedzi w pałacyku lejtnanta Tyberjusza. Na to odpowiedział komisarz długim, nader starannie wypracowanym raportem, że ma w rękach człowieka, jak się zdaje, bardzo niebezpiecznego, ale jak się wyraził: *Das Individuum ist noch nicht*

reif zum Galgen. Wprawdzie ma już różne o nim poszlaki, ale te poszlaki mogą dopiero stanowić tak zwany materjał policyjny, ale jeszcze nie są w obec sądu dowodami, co jednak wkrótce stać się może.

Daléj pisał, że obserwuje tego człowieka we wszelkich jego czynnościach i czeka tylko jakiego namacalnego czynu, za który mógłby uchwycić i po nim, jak po nitce, rozsnuć cały kłębek.

Zdaje się, że o tym raporcie dowiedział się opiekun Zefira i zarządził środki ocalenia go w jaki sposób.

Komisarz Pandraczek uspokoił się wielce po napisaniu tego raportu, nad którym sam się zachwycał. Z większą niż przedtém swobodą oddał się grze, przekonawszy Johana, że to czyni w interesie służby.

Pan lejtnant Tyberjusz przyjął z rezygnacją to wszystko, co się w jego domu działo. Gość nieznajomy wprawdzie śnił mu się po nocach w różnych przerażających postaciach, ale że obok tego miał także rozkoszne sny o swoim tytule pro-

wizorycznym, o orderze Leopolda i kluczu szambelańskim, wyrównywało się jakoś to wszystko i napawało go na dalszą drogę żywota dosyć dobrą otuchą. Do tego przyłączał się także dobry humor żony, która go co kilka godzin głaskała pod brodę i Berciem nazywała.

I w samej rzeczy pani Ida była w bardzo dobrym humorze. Samotne godziny spędzała na czytaniu polskich książek, które ją coraz więcéj bawiły. Przy gościu popisywała się tém, co wyczytała, a gość wzajemnie to samo czynił. I tak dwoje ubogich w naukę ludzi wspierali siebie wzajem jak mogli.

Bywały także w pałacyku chwile wyższéj poezji. Osobliwie po objedzie, gdy komisarz na godzinkę w swojéj izdebce się zdrzymnął, siadała Ida do fotepjanu i śpiewała znudzonemu Zefirowi Niemcewicza:

„Kiedy Bolesław był małém dziecięciem...“

I tak biedny Zefir, zamiast hulaszczego, roskosznego życia po dworach, spotykał

się zawsze z świetnemi wspomnieniami dziejów polskich, a nawet razu jednego o szaréj godzinie, nim świece do zielonego stolika zapalono, musiał wysłuchać z pięknych usteczek Idy całéj długiéj historji o zdrajcy Glińskim...

Za tyle jednak uległości i poświęceń, za długie noce strawione nad czytaniem książek, do jutrzejszéj rozmowy potrzebnych, nie miał dotąd żadnego wynagrodzenia, bo Pandraczek z jednéj strony, a landsdragon z drugiéj czuwali nad nim, jak dwa cerbery.

Pietnastego dnia od owego bankietu dla jenerała, stało się w pałacyku wielkie zamięszanie. Johan znalazł w izdebce na podłodze, gdzie Zefir mieszkał, małą karteczkę, którą z miną tajemniczą wręczył komisarzowi.

Komisarz odczytał kilka razy, ale nie mógł sensu złożyć. Johan uzupełnił ją niektóremi uwagami, z czego okazało się, że gość tajemniczy może już być aresztowany.

Dzień ten jednak był dla komisarza dniem bardzo szczęśliwym. Wygrał już dwadzieścia dukatów. Gdyby dzisiaj daléj grę kontynuował, mógłby wygrać resztę złota, które przez oka sakiewki do niego mrugało...

Postanowił więc dalszą decyzję do jutra odłożyć, a sam usiadł spokojnie do gry.

I w rzeczy saméj fortuna sprzyjała mu dzisiaj. Dukat za dukatem wychodził z sakiewki. Już jedna połowa zupełnie się wypróżniła. Przed komisarzem leżała spora kupa złota... Komisarz pocił się z radości...

Nagle obróciło się koło zmiennéj niewiasty. Za dziesięć minut, nietylko, że złoto przeniosło się znowu do sakwy, ale wzięło z sobą pięćdziesiąt guldenów komisarza...

Komisarz posiniał ze złości, palce mu skostniały, oczy krwią nabiegły.

— Pan jesteś emigrantem! — wrzasnął na całe gardło, — jesteś emisarjuszem, partyzantem! Ja pana aresztuję! Masz pan

paszport? Pokaż paszport... rozumie się, paszport z wizą starosty!

Zefir przybladł nieco na twarzy i w milczeniu patrzał chwilę na komisarza, który był bliski apopleksji.

— Johan! — wołał daléj komisarz, — *Eisen her!* Zawołać wójta, niech da dziesięciu stróżów!

Na ten krzyk zbiegli się wszyscy. Pan lejtnant Tyberjusz był śmiertelnie blady i krzyczał po niemiecku, że jest niewinny, że sam swoim ludziom każe zbrodniarza związać...

Pani Ida była także śmiertelnie blada, padła na krzesło i dostała spazmów. Po chwili oprzytomniała i z właściwą w takim razie kobietom przenikliwością objęła całą grozę sytuacji.

Do tego dołączyło się jeszcze jéj rozdrażnienie romantyczne. Nieznajomy był emigrantem! Przez dwa tygodnie naczytała się do syta o męczeńskiéj sprawie polskiéj. Nieznajomy był męczennikiem i tak bliskim, tak bliskim jéj serca... Więc ona przeczuła w nim męczennika...

— Panie Pandraczek, — zawołała łamiąc ręce, — miéj pan litość nad naszym domem, w którym doznałeś tyle gościnności... miéj litość nad moim mężem, nademną i nad biednym, nieszczęśliwym...

— *Nichts da! Bin kaiserlicher Diener!* — odfuknął komisarz, — *Johann! Eisen her!*

Landsdragon stał w progu z kajdanami. Zefir przyszedł był już zupełnie do siebie. Spojrzał z uśmiechem na panią Idę i rzekł do komisarza:

— Każ pan landsdragonowi wyjść do sieni, mam panu coś w zaufaniu do powiedzenia.

Pandraczek dał znak Johanowi, aby odszedł. Zefir zbliżył się do komisarza.

— Paszportu nie mam przez starostę wizowanego, bo nie wiedziałem, że tego potrzeba. Możesz mnie pan aresztować i wziąć z sobą do urzędu obwodowego, gdzie okaże się moja niewinność. Ale cokolwiekbądź nastąpi, chcę względem pana okazać się szlachetnym. Pan przegrałeś do mnie znaczną kwotę. I tak już zmrok

zapada. Do miasta odjedziemy jutro rano. Wieczór więc dzisiejszy mogę panu poświęcić dla odegrania się.

— *Das geht nicht*, *das geht nicht!* — odparł komisarz, ale już nieco łagodniéj.

— Możesz pan to uczynić z wszelkiém bezpieczeństwem, — mówił coraz śmieléj Zefir, — możemy zejść do oficyn, tam postawisz pan straż przed oknami i drzwiami, gospodarz przyśle nam po raz ostatni herbatę, my się rozegramy i w dobréj przyjaźni rozstaniemy się, jak Bóg osądzi!

Pandraczek uznał, że to nie była myśl najgorsza. W uniesieniu popełnił błąd, że przedwcześnie wybuchnął, ale Zefir naprawił teraz ten błąd, o ile było można. Po krótkim więc namyśle przystał na tę propozycję Zefira i obaj pod dozorem landsdragona zeszli do oficyn. Dla lepszego bezpieczeństwa wziął go do swojéj izdebki i kazał Johanowi porozstawiać stróżów pod oknami i przy dzwiach, którzyby aresztanta za nic w świecie na świat nie wypuszczali...

Potém zasłoniwszy własnoręcznie okna, aby stróżującym chłopom zgorszenia nie dawać, usiadł Pandraczek do gry, aby przynajmniéj własnych pięćdziesiąt guldenów odegrać...

I fortuna tym razem raczyła mu sprzyjać. Gulden po guldenie przechodził do niego Zefir był roztargniony i ciągle się oglądał na wszystkie strony. Przy oknach i drzwiach słychać było stąpania licznéj straży, a landsdragon obchodził oficyny do koła, jak pies obejście swego gospodarza.

Przyniesiono i wypito herbatę. Dla odpoczynku zapalono cygara. Po chwili wszedł służący i przyniósł Zefirowi jakąś książkę od pani. Komisarz pochwycił tę książkę, przewrócił kartki, nic w niéj nie było.

Zefir zaczął badać tytuł książki. Dojrzał, że niektóre litery były podkreślone. Złożył te litery i wyczytał: „W altanie.“

Odsunął książkę i palił daléj cygaro. Nieznacznie wydobył z jednéj połowy sa-

kiewki dukaty. Potém wstał i na chwilę wyszedł do przedpokoju.

W przedpokoju wisiała burka komisarza na jednym kołku, a na drugim czapeczka jego.

Zefir wziął burkę na ramiona a czapeczkę na głowę i wyszedł z oficyn.

— *Gehen Sie spazieren, Herr Commissär?* — zapytał w ganku landsdragon.

Zefir mruknął coś pod nosem i poszedł daléj w kierunku ku ogrodowéj altanie.

Tymczasem siedział w izdebce Pandraczek i puszczał z rozkoszą dym przez nozdrza... Minęło pięć minut, aresztant nie wraca. Zaczekał jeszcze drugie pięć minut — nie wraca. Ogarnął go niepokój. Zerwał się, wybiegł do przedpokoju... nie ma ani burki ani czapeczki!..

Chwycił za fantazyjny kapelusz Zefira i wypadł jak wściekły na dziedziniec.

— *Halt, halt!* — krzyczał Johan, — łapaj, trzymaj!

I nim jeszcze Pandraczek do siebie przyjść zdołał, uczuł bolesny kułak Johana pod gardłem i sześć potężnych rąk,

które się zbyt niemile jego karku dotykały... Komisarz stracił przytomność!

A w téj chwili dopadł właśnie Zefir do altanki ogrodowéj. W altance stał jakiś człowiek garbaty.

— Chodź pan prędko, — rzekł do niego, — nie ma czasu do stracenia.

Puścili się ścieżką do przełazu. Za przełazem stała bryczka. Dwie kobiety siedziały na bryczce.

— Niech pan siada! — ozwała się jedna tak dziwnym głosem, jakiego Zefir jeszcze nie słyszał.

Usiadł w milczeniu, bo sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Towarzyszka także milczała, tylko pierś jéj mocno się podnosiła... Garbaty zaciął konie.

Niejaki czas jechali w milczeniu. A dziwne było to milczenie...

Księżyc wyjrzał teraz z poza chmury i oświecił twarz młodéj kobiety.

Była to twarz piękna, zachwycona... A w oczach téj twarzy błyszczały łzy na świetle księżyca...

— Powiedz mi pani, — ozwał się Zefir, — czy to wszystko na jawie, czy śnię tylko?.. Przed chwilą byłem zgubionym, a za chwilę zjawia się mój anioł opiekuńczy, anioł-stróż....

— Jeżeli każdy anioł-stróż, — szepnęła piękna kobieta, — ma być niewidzialnym, to mogę wierzyć, że nim byłam! Pan mnie nie widziałeś, a ja czuwałam przy panu!

— Zlituj się pani... powiedz mi, kto jesteś...

— Kto jestem, teraz się pan nie dowiesz, — odpowiedziała egzaltowana kobieta, — może innym razem...

— Gdzież panią znajdę i obaczę?

— Znajdziesz mnie pan wszędzie, gdzie będzie pole do dobrego uczynku... znajdziesz mnie pan tam, gdzie są łzy i rozpacz, gdzie twarda a niewdzięczna praca dla przyszłości... tam mnie pan znajdziesz i powitasz!

A kiedy tych słów domawiała, dał się słyszeć zdala tętent koni i turkot wozu...

Garbaty zatrzymał konie. Było to wła-

śnie przy polowéj dróżynie. Na dróżynie stała lekka karjolka.

— Siadaj pan prędko do karjolki! — szepnął garbaty, — znajdziesz tam swój kufer i płaszcz.

Zefir zeskoczył z wozu, podał rękę młodéj kobiecie i uczuł na téj ręce uścisk, który go wskróś przeniknął.

— Do zobaczenia! — szepnęła mu z cicha...

Garbaty zaciął konie, a wózek pomknął błyskawicą daléj, turkocząc głośno po bitéj drodze.

Karjolka cicho potoczyła się polową dróżyną.

Pogoń poszła za turkotem wózka.

. . . .

Za kilka dni wielki hałas był w stolicy. Opowiadano, że jenerał złożył arcyksięciu raport jak najdokładniejszy ułożonego spisku w domu jednego z większych właścicieli ziemskich. Do tego spisku mieli być głównie wojskowi wciągnieni, którzy w tym celu zaproszeni zostali na wielki bankiet. Przypadkowy przyjazd niektórych osób

przeszkodził temu. Wysłannik z Paryża dostał się w ręce komisarza obwodowego Pandraczka, który jednak dał się przekupić, wygrawszy niby w karty i aresztanta na wolność wypuścił... Dyrektor policji nic o tém nie wiedział, ani prezydent, tylko jenerał.

I rzeczywiście tego samego dnia udała się wprost ze Lwowa komisja mieszana do pałacu pana lejtnanta Tyberjusza, przetrząsła dom od piwnicy aż do strychu, a znalazłszy w biurku pana Tyberjusza starannie ukryte papiery zagadkowéj treści, wyrzekła, że raport jenerała był prawdziwy i właściciela pałacyku pod eskortą dwóch landsdragonów do kryminału wywiozła.

A kiedy pan lejtnant Tyberjusz z wielkim płaczem progi rodzinne opuszczał, otoczyli go tłumnie mieszczanie biednego miasteczka, którzy po raz pierwszy w życiu uczuli sympatję dla swego dziedzica i opiekuna. To współczucie rozczuliło dziedzica i napoiło jego serce dziwnie pocie-

szającém uczuciem, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie doznał...

Pani Ida, widząc po raz pierwszy na głowie męża wieniec męczeński, zapomniała o swoim koronkami osłonionym idealiku i z jakąś dziwnie rozkoszną boleścią rzuciła się po raz pierwszy sama w objęcia małżonka i przepłakała na jego piersi kilka chwil prawdziwie szczęśliwych!..

A w téj saméj chwili rwał sobie Pandraczek włosy na głowie. Przed nim leżał tymczasowy wyrok degradacji na komisarza trzeciéj klasy i przeniesienie w Beskidy! Resztę miało orzeknąć śledztwo!...

Za tydzień przechodził Jerzy koło kryminału. Z dolnego okna wychodził basowy śpiew, w którym Jerzy poznał głos swego dawnego mistrza. Mistrz śpiewał jak zwykle z wielkiém namaszczeniem pieśń karbonarjuszów:

„Podobnie do martwych węgli...“

W drugiéj zwrotce dołączył się do basu słaby, lecz melodyjny tenor:

„Lecz węgiel martwo nie leży,
Iskra w nim tylko usnęła...

Oby zawiał wietrzyk świeży,
Wnetby się w płomień rozdęła..."

Był to głos lejtnanta Tyberjusza!... Mistrz widocznie uczył go pieśni...

XXIII.

Było już sporo po północy, gdy karjolka zatrzymała się z Zefirem przed gankiem dworku pod strzechą. We dworku wszyscy już spali, wszędzie było ciemno. W ganku jednak siedział i czuwał sam gospodarz. Daléj stał wózek zaprzężony.

— Witaj bracie — rzekł do Zefira gospodarz — i dziękuj Bogu, że cię wyrwał z rąk landsdragona. Ale nie ma czasu do stracenia. Siadaj na bryczkę, a tu weź trochę prowjantu na drogę.

Rzekłszy to, wstawił kosz do wózka, a sam siadł na kozieł i wziął lejce do ręki.

Gdy spory kawał drogi ujechali, puścił gospodarz koniom wodze, a sam wykręcił się do Zefira. Wyjął z kosza butelkę, odkorkował, a rozwinąwszy drugą ręką kawał pieczonego schaba, rzekł do Zefira:

— Pokrzep się bracie, bo najlepsza głowa bez lampki wina i kawałka mięsa w żołądku, djabła warta! Wy, co tam wiele książek czytacie i z Lelewelem w przyjaźni żyjecie, myślicie, że człowiek tylko duchem żyć może! Nieprawda, trzeba mięszać *utile dulci*. I ja także nie wychowałem się w lesie. Pamiętam poczciwy Brodziński... znasz pan jego odę do stolika! Prześliczna! Powiada, to moja rola ten stolik... ja tam sieję i orzę... Jak to idą te wiersze?

Zefir zakształcił się winem. Przeklął w duchu Brodzińskiego, o którym nic nie wiedział, i przeklął starego gadułę:

— Mnie się zdaje — ozwał się po cichu — że bezpieczniéj będzie, jeśli nie będziemy rozmawiać...

— Nie bój się bracie, włos z głowy ci nie spadnie! — odparł gospodarz — pa-

miętam gdy u mego ojca był noclegiem ksiądz biskup krzemieniecki, a był *incognito*, bo, jak wiész bracie, powziął on wtedy myśl bohaterską...

Tu zaczął gadatliwy gospodarz szeroko mówić o stanie ówczesnym w Polsce i często żądał w téj mierze zdania lub przypomnienia jakiego nazwiska od Zefira. Zefir krztusił się i pocił, i przeklinał w duchu całą historję Polski, która tyle posiada bogactw, że do ich poznania potrzeba długich studjów... przeklinał swego opiekuna, który go namówił do roli wymagającéj tak rozległéj nauki i znajomości dziejów ojczystych...

Wreszcie w świetle księżyca zabielał mały dworek otoczony topolami. Zefir odetchnął, bo tu kończył się kurs starego gaduły. Szybko wyskoczył, a ściskając rękę gaduły, ścisnął ją serdecznie, bo ta ręka na to zasłużyła...

Znowu inny wózek i inny furman!

Po tym wózku nastąpił trzeci i czwarty, aż wreszcie już za białego dnia stanął w stolicy zupełnie innego obwodu, która

od siedziby komisarza Pandraczka była oddaloną mil dziesięć.

Tu według brzmienia marszruty zostawiono mu wolną wolę, gdzie daléj udać się zamyśla.

Zanadto wiele wrażeń odniósł Zefir w tych kilkunastu godzinach, aby nie zapragnąć spoczynku. Chciał samotności, aby wejść w siebie, i wszystko to, czego w tych godzinach dożył, w głowie sobie uporządkować.

Przedewszystkiém dręczyła go trwoga przed nowym egzaminem z dziejów polskich. Po tym upartym gadule, który znał Brodzińskiego i księdza biskupa krzemienieckiego, było jeszcze dwóch, którzy chcieli koniecznie dowiedzieć się od niego, czy zarzuty czynione Czartoryskim są sprawiedliwe, czy pochodzą tylko od stronnictwa nieprzyjaznego ostatniemu królowi polskiemu. Ztąd przeszło na panowanie Stanisława Augusta, a biédny Zefir przeklinał w duchu carycę, która króla kochała, i złorzeczył Marji Teresie, która nad Polską płakała!...

Było rzeczą bardzo naturalną, że każdy szlachcic, każdy proboszcz i dzierżawca uważał za swój obowiązek z wysłannikiem i przyjacielem Lelewela, z apostołem sprawy polskiéj mówić o Polsce i jéj dziejach...

Zefir postanowił sobie kilka tygodni w mieście obwodowém zamieszkać, bo policja tylko po dworach szukała, i ten czas wyłącznie studjom rzeczy polskich poświęcić. W tym celu ostrożnie postarał się o książki, a nawet i ze Lwowa otrzymał posyłkę, o którą już dawniéj swego opiekuna prosił. Na niektórych przysłanych książkach był podpis: Anna, na innych: Jerzy. Zefir zabrał się teraz na serjo do czytania, a nawet sprawiało mu to pewną przyjemność.

Śród tych studjów historycznych błąkała się ustawicznie dziwna myśl po jego głowie, przy któréj jego serce dziwnie biło... A wra z tą myślą i z tém biciem serca przychodziła mu przed oczy anielskiéj piękności kobieta, oświecona świa-

tłem księżycowém, z błyszczącemi łzami w oczach...

I dziwnie mu jakoś było przy tém. W pojawieniu się téj kobiety, było coś nadnaturalnego. Jak anioł stróż spuściła się nagle z nieba, aby go od zguby wybawić... siedziała przy nim chwil kilka... błysnęła przed nim swemi łzami... uścisnęła jego rękę, jak dotąd żadna inna kobieta nie uczyniła... i wionęła od niego lekką chmurką!...

A gdy się jéj pytał, gdzie ją znajdzie i obaczy, odpowiedziała mu, że tam, gdzie są łzy i rozpacz, gdzie jest pole dobrych uczynków, gdzie jest twarda a niewdzięczna praca dla przyszłości... Była zawsze przy nim i czuwała nad nim niewidzialna jak stróż anioł!...

Gdy sobie te słowa przypominał, czuł wyraźnie, że w jego duszy coś się odbywa. Wchodziło tam jakieś nowe zupełnie uczucie i walczyło z tém, co tam zamieszkało...

Były chwile, w których uczuwał jakiś

dziwny żal, że nie był, nie mógł być — innym!...

Prócz tego uderzała go ta dziwna opieka tego anioła stróża. Anioł stróż tak doskonale urządził całą podróż jego. Przewidział najdrobniejsze potrzeby i wymagania ostrożności, i wszystkiemu zaradził. Wszystko było przygotowane i czekało na niego.

Kiedy sobie to wszystko w głowie rozbierał, doznawał dziwnie przyjemnego uczucia, i gdyby podówczas była szkoła spirytystów, wierzyłby niezawodnie, że duchy w wyjątkowych wypadkach mogą się śmiertelnym okazywać.

Po takich marzeniach o swoim aniele stróżu, wracał do książek i czytał po całych dniach i nocach.

Wreszcie nadszedł ze Lwowa list z wyrzutem, że zadługo wypoczywa. List ten sprawił teraz na Zefirze niemiłe wrażenie. Odsunął go od siebie jak najdaléj i wrócił znowu do książek, do marzeń o aniele stróżu.

Za kilka dni nadszedł list drugi. I ten

list odsunął Zefir, sam zaś wyszedł na świeże powietrze.

Powietrze było wonne, majowe. Roje ludzi snuły się wysadzoną drzewami ulicą.

Przy téj ulicy była cukiernia. Oficerowie od piechoty i konnicy siedzieli przy małych stoliczkach i rozmawiali. Zefir usiadł w ich sąsiedztwie i zażądał lodów. Po lodach zapalił sobie amerykańskie cygaro.

Kilku oficerów weszło do cukierni i kazali sobie podać karty. Zasiedli do gry przy samém oknie.

Zefir patrzał przez okno na grających. Widział, jak karty padały, jak wygrywały i przegrywały, a w duszy jego zaczęła się budzić namiętność, któréj tyle życia poświęcał... Poprawił się na krześle, aby lepiéj widzieć grających.

— Czy nie chciałbyś pan należeć do partyjki? — zapytał go w téj chwili oficer od dragonów.

Zefir skręcił się na krześle, coś go gwałtem ciągnęło do stolika...

— Na godzinkę mogę panom służyć, — odpowiedział nie bez wahania się.

Zasiadł do gry. Minęła jedna godzina, minęła druga i trzecia... minęła noc, a nad ranem wracał Zefir do domu, cały czerwony na twarzy od całonocnych wzruszeń, bez grosza w kieszeni!

Rano zastał list ze Lwowa. Opiekun zżymał się w tym liście na jego bezczynność...

Zefir głodny i niewyspany wyszedł na miasto. Ostatnie cygaro wyjął z kieszeni i zapalił.

Miasto było dzisiaj całe napchane ludźmi. Odbywał się właśnie jarmark na konie. Szlachta okoliczna zjechała się tłumnie, bo właśnie nadeszła pora potrzeby liczniejszych zaprzęgów.

Zefir chodził między szlachtą i przypatrywał się wąsatym i opalonym twarzom wieśniaków. Uśmiech dziwny igrał na jego twarzy, uśmiech zabijającéj ironji. Zdawało się, że pomiędzy temi twarzami wybiera sobie nową ofiarę...

Na szerokiém podcieniu stał mężczyzna

o zdrowéj, rumianéj twarzy. Z ubioru należał do ludzi zasobniejszych. Trzymał za rękę małego chłopczyka, który niósł różne zabawki. Koło nich stał żydek z małym kramikiem.

— Tatuńciu, — ozwał się chłopczyk, — jeszcze tę krówkę dla Antosi!.. A Mania będzie płakać, że nie ma takiego baranka, jak Kasia!.. A tę świstawkę dla Szymcia ogrodniczka. Będzie się cieszył!

— A cóż ty Józieczku, — ozwał się ojciec patrząc na syna, — czy ty lubisz patrzyć się, jak się sierota cieszy?

— O bardzo lubię! — odparł żywo chłopczyk, — mameczka powiada, że jak się sierota cieszy, to Bóg się cieszy!

Ojciec pochylił się, pocałował chłopczyka w głowę i odparł:

— Dobrze robisz moje dziecię, że o sierocie nie zapominasz. Jakbyś kiedy został sierotą, to Bóg o tobie nie zapomni!

Zefir dochodził właśnie w téj chwili do rumianego jegomości, który z kramika żydowskiego nabrał zabawek dziecinnych,

co mógł w rękę zmieścić, aby syn jego miał co w domu rozdawać.

— Mój panie, — ozwał się do szczęśliwego ojca, — jestem... muszę się ukrywać przed policją.

Nieznajomy spojrzał mu w oczy z uwagą. Twarz Zefira okazywała w téj chwili tak prawdziwe zmartwienie, że ani wątpić nie można było o prawdziwości jego słów. Bo téż szczególnie prawdę powiedział!

— Czy znasz pan kogo tutaj na jarmarku? — zapytał po chwili namysłu nieznajomy.

— Nie znam nikogo, — odparł Zefir rozpaczliwie, — ale gdzieindziéj mogę się wykazać...

Nieznajomy patrzył jeszcze czas niejaki na Zefira. Potém wziął go za rękę i rzekł:

— Oszustem pan nie jesteś, a szpiegiem być, to także niefortunne rzemiosło... Dom mój i serce moje jest dla rodaków moich zawsze otwarte!.. Pójdź do mego pokoiku, zakąsimy czém naszą znajomość...

I uściskał serdecznie rękę Zefira i pociągnął go za sobą do sieni zajazdu.

XXIV.

Od sinych gór, które malowniczo rysowały się na gorącém, czerwoném niebie, oderwała się mała chmurka i wypłynęła rozkosznie na ciemny błękit. Za górami czyhał wietrzny zalotnik i puścił się za nią w pogoń po niebie. Siostrzyczki od sinych gór pośpieszyły chmurce w pomoc, a na gładkiém szafirowém polu rozpoczęły się teraz dziwne, malownicze gonitwy.

Mała chmurka mknęła naprzód z bojaźnią dziewicy, która po raz pierwszy zagrodę rodzinną opuszcza, a za nią pędził wiatr-zalotnik chwytając za końce jéj szaty powiewnéj... Chmurka rozpięła węzeł włosów swoich, aby tém chyżéj uciekać, a

nielitościwy rozpustnik chwytał za sploty włosów, wyrywał je i rozrzucał po całém niebie...

Nad piękną, zieloną doliną zatrzymała się chmurka. Środkiem doliny płynął spokojnie szeroki strumień. Trawki i kwiaty łąk, drzewa ogrodów i blado-zielone pola falujące kłosami, przeglądały się z rozkoszą w jego wodach krzyształowych, któremi je hojnie napawał, gdy słońce z nieba paliło...

Dolina była piękna, ustronie spokojne. Na lekkiém wzgórzu bielił się mały dworek. Otaczały go różne budynki gospodarskie. Za nim ciągnął się ładny ogródek a za ogródkiem roiły się pszczółki, znosząc z całéj doliny słodki nektar dla siebie i dla ludzi. Na zielonych polach kołysały się kłosy żyta i pszenicy, na błoniu błąkały się pochylone ku ziemi krówki...

Dolina była piękna, bardzo piękna. Uciekając od wietrznika, rozpuściła się chmurka w drobne krople i chciała się spuścić łagodnym deszczykiem na dolinę. Wiatr-

psotnik pochwycił te krople w swoje ramiona i zatrzymał w powietrzu, a zachodzące słońce opromieniło je i związało szeroką wstęgą o siedmiu barwach...

— Patrz mameczko, co to za prześliczna tęcza! — zawołała mała dziewczynka o jasnych włosach, która z białego dworku wyszła przed ganek, z małą książeczką w ręku, — patrz mameczko, a tęcza jest z téj strony, zkąd tatuńcio przyjedzie...

— Ta tęcza wygląda jak nasza brama, tylko piękniejsza i wyższa! — zagadnął mały chłopczyk.

— A może tę tęczę Pan Bóg zrobił dla tatuńcia, aby przez nią do nas przyjechał? — mówiła dziewczynka.

Młoda kobieta o jasnych włosach stała w ganku i z rozkoszą patrzała na szczebiocące dzieci. Pochyliła się do dziewczynki i odgarnęła gęste pukle włosów, które jéj czoło zasłaniały. Potém wzięła ją na rękę i rzekła:

— Czytałaś właśnie wczoraj, że u starożytnych narodów był zwyczaj, że wielkim wodzom swoim, gdy od zwycięztwa

wracali, budowały wielkie, tryumfalne bramy. Zwyczaj ten naśladują i u nas, chociaż nie zawsze sprawiedliwie. Często płaceni przez monarchów urzędnicy każą w kraju, przez który monarcha przejeżdża, stawiać takie bramy tryumfalne, i potém wmawiają w monarchę, że to naród tak go uwielbia... Pan Bóg zaś nikomu bramy tryumfalnéj nie stawia, choćby był największym bohaterem. Ma on dla niego inne nagrody... najlepszą nagrodą jest spokojne sumienie i przekonanie, że się jest poczciwym i dobrym człowiekiem!

— Mameczka mówi — prawiła daléj mała oponentka — że Pan Bóg jest ojcem wszystkich ludzi. Tatuńcio, jeśli się dobrze uczymy, nagradza nas; dlaczegóżby Pan Bóg nie miał dla tatuńcia, który nas tak kocha, zrobić téj pięknéj siedmiokolorowéj bramy, gdy wraca do domu? Czyż Pan Bóg niczém nie okazuje, że nas kocha?

— Wszystko, co widzisz moje dziecię, jest dowodem, że nas Pan Bóg kocha... Ale miłość Boga jest często dla nas nie-

zbadana. Czasami prowadzi nas takiemi drogami, które my nazywamy nieszczęściem, a przecież w końcu okazuje się, że nas prowadził dobrze, jako ojciec kochający!.. Zapytaj Kazia, czy nie płakał, gdy mu kazano bajki nauczyć się. A gdy ją potém przed dziaduniem recytował, czy go dziadunio nie pocałował i nie dał mu konika?.. Zapytaj go teraz, czyli ta bajeczka nie cieszy go, i ile już łakoci dostał za nią?..

W téj chwili wytoczono na ganek duże krzesło. W krześle siedział starzec siwowłosy. Starość i choroby odjęły mu władzę nóg i twarz jego wybieliły jak papier. Z zapadłą piersią, z wygasłemi oczyma spojrzał w niebo.

— Tak pięknéj tęczy w życiu nie widziałem! — zawołał, a wzrok jego roziskrzył się — a żyję lat dziewięćdziesiąt na bożéj ziemi!... Gdyby to w godzinę śmierci taka tęcza zabłysła nademną! Myślałbym, że Pan Bóg rzuca mi most z wysokiego nieba, aby dusza po tych kolorach z ziemi do niego się dostała!...

— Dziadunio zawsze o téj śmierci prawi! — ozwała się z kaprysikiem jasnowłosa dziewczynka.

— Tak być powinno, moje dziecię — odparł smutno dziadunio. — Oto patrz na tę tęczę. Wychodzi ona jednym końcem z ziemi i pnie się śmiało pod niebo! Wyszedłszy wysoko, spuszcza się powoli i znowu tam dąży do ziemi! Otóż masz obraz życia. Ty Antosiu odrywasz się dopiero od ziemi, jak ta tęcza tam od kwiecistéj łąki, tatunio twój jest już z mameczką tam wysoko pod samém niebem, a ja z drugiéj strony dotykam się już do ziemi!.. Tylko na to zważać moje dzieci, aby nie napróżno przebiedz ten łuk siedmiobarwny, aby schodząc do ziemi, nie zejść z próżnemi rękami, bo tam w ziemi będzie nam wtedy ciemno, strasznie ciemno!...

Jasnowłosa kobieta usiadła na ganku i podparła piękną swoją głowę. Na jéj twarzy malowało się jakieś smutne zamyślenie. Kazio i Antosia zadumali się także, bo dziadunio dziwnie mówił.

— Cóż wziąć z sobą, aby nam w ziemi nie było ciemno? — zapytała po chwili Antosia.

— Jabym wziął sobie świętojańskie robaczki — odparł mały braciszek.

— Otóż widzisz mój Kaziu — rzekł dziadunio — tak jak wśród nocy świecą robaczki świętojańskie własném światłem swojém, tak przyświecają w grobie człowiekowi jego dobre uczynki!...

Słowa te nastroiły wszystkich smutno. Długi czas upłynął w milczeniu. Przerwał to milczenie Kazio.

— Nie wiem, dlaczego mameczka taka smutna! — zagadnął podskakując dla rozweselenia się.

— Wszak tatuńcia tylko co nie widać!— wtrąciła Antosia i zaczęła się z matką pieścić.

— A pierwéj zawsze mameczka się cieszyła, jak tatuncio miał przyjechać! — dodał Kazio.

I w saméj rzeczy rozweseliła się teraz twarz młodéj kobiety, bo w samym środku tęczy, jakby wśród wieńca najpiękniej-

szych kwiatów pojawił się znajomy wszystkim wózek ciągniony dziarskiemi siwkami!

— Tatuńcio jedzie! Tatuńcio jedzie! — wołały dzieci i frunęły jak ptaki ku bramie.

— Kazimierz jedzie! — rzekła do starca kobieta z twarzą ożywioną.

— Jedzie! — szepnął z rozweseloném okiem starzec i głowę podniósł ku stronie bramy.

A na niebie tymczasem bladła tęcza. Zdawało się starcowi, że jéj drugi koniec szybko spuszczał się do ziemi, jak urwana wstęga o siedmiu barwach... Jakieś uczucie smutne opanowało jego duszę.

Tymczasem przy bramie stał się krzyk wielki. Antosia i Kazio wyskoczyli na wózek mimo nawoływania matki, że pod koła wpadną. Ojciec chwycił syna za rękę, a towarzysz jego podał szybko rękę Antosi, która w pierwszéj radości wcale na nieznajomego nie patrzała. Dopiero po przywitaniu się z ojcem i braciszkiem

spojrzała na nieznajomego, zarumieniła się i szybko rękę cofnęła.

Wózek zatoczył się zwolna przed ganek. Józio wyskoczył pierwszy i rozwinął kupione zabawki. Radość była nie do opisania. Baranki, krówki, żołnierze, strzelby i pistolety, wszystko to w okamgnieniu przechodziło z ręki do ręki, upadało na ziemię, znowu z ziemi dostawało się do rąk, aby nanowo upaść...

Tymczasem ojciec przedstawił swego towarzysza. Wystarczyło kilka słów, aby był przyjęty jak najserdeczniéj.

— Podaj mi rękę zacny rodaku... — ozwał się dziadunio, — tak... tak... ręka twoja ciepła, bo my oddaliśmy już wam całe życie nasze! Nam już zimno i mroźno, bo cośmy w młodości zarobić mogli, tośmy wam przekazali. Młodość nasza była bardzo smutna... oby wasza była lepsza i szczęśliwsza! Obyście uzbieranym śród cierni funduszem naszym dobrze i lepiéj od nas gospodarowali!.. Część naszego funduszu zostawiliśmy w Hiszpanji, zostawiliśmy pod Sommosierra, nad Be-

rezyną, na wyspie San Domingo i pod Lipskiem!.. Waszém zadaniem jest pozbierać ten fundusz i na naszych grobach rozpocząć nowe gospodarstwo!.. Oby świat nie powiedział, żeśmy bankruci, żeśmy wszystko przehulali i zatracili!.. Oby nam tego w grobach naszych nie wyrzucano!..

Przemówienie dziadunia nasunęło wszystkim smutne myśli. Nawet Zefir zadumał się i oczy spuścił do ziemi. Tylko najmłodsza generacja nie straciła na wesołości. Oglądała z zachwyceniem ołowianych żołnierzy.

— Nie uwierzysz pan, — ozwała się młoda kobieta, — jaką radość sprawiłeś nam, zapukawszy do naszych drzwi. Jakkolwiek prócz spełnienia świętego obowiązku względem ojczyzny i gościnności żadnych innych praw sobie nie rościmy, mimo to głos wewnętrzny każe nam panu być wdzięcznymi, żeś nam dał sposobność okazania się tém, czém jesteśmy. Witaj nam i uważaj się odtąd za członka rodziny!

Mówiąc to, podała mu drobną rączkę z takim pięknym, z głębi duszy bijącym

wyrazem na twarzy, że Zefir pochylił się z uszanowaniem nad tą rączką i podaną jak relikwję świętą ucałował.

— Tęcza prowadziła nas przez całą drogę, — rzekł mąż pięknéj kobiety, — a to jest dla nas oznaką, że Bóg ze sprawą naszą jest w przymierzu! A przy takiéj opiece możesz pan u nas być bezpiecznym!

— Niebezpieczeństwo jest tylko dla ludzi, dla sprawy dobréj nie ma go nigdy, bo ta jest wieczna i nieśmiertelna, jak wiecznym i nieśmiertelnym jest Bóg! — ozwał się dziadunio i pochylił głowę na piersi. — Tak, tylko ludzie umierają, a sprawa dobra nie umiera nigdy!..

A gdy te słowa wymawiał, rozsypały się ostatnie barwy tęczy, jak się rozsypują dęgi, gdy wiążąca je obręcz pryśnie!.. Na zieloną dolinę spuścił się zmrok szary....

XXV.

W pierwszych dniach gniewał się Zefir sam na siebie, że taką kwaterę wybrał sobie. Nie było ani kart, ani żadnéj głośnéj zabawy. Goście przyjeżdżali wprawdzie do domu, ale cała wizyta kończyła się na pogadance o rzeczach publicznych i gospodarskich. Pogadanki te znowu dokuczały Zefirowi, bo znowu trzeba było zaglądać do książek, a nawet po całych nocach czytać, aby dziaduniowi rano odpowiedzieć na to, o co w wieczór się pytał. A dziadunio to była żyjąca książka!

Pani Antonina była także zupełnie inną od pani Idy. Chociaż nie używała żadnéj sztuki, była prawie piękniejszą od niéj. Piękność jednak jéj była szczególnego

rodzaju. Można było na nią patrzyć całemi godzinami, można się było poić bogactwem téj twarzy, a mimo to nie można było przekroczyć nawet w marzeniu pewnéj szeroko zakreślonéj granicy, która ją otaczała. Miała w koło jakąś dziwnie świetlaną atmosferę, która uszanowanie nakazywała.

Towarzystwo takiéj kobiety nie było dla Zefira wielką rozrywką. Zmuszony do adoracji zdaleka musiał sam udawać lepszego, co mu niewiele przyjemności sprawiało.

Jedynym ratunkiem dla niego było w téj chwili owo dziwne wspomnienie z téj nocnéj podróży. Ono dodawało mu siły i odwagi, gdy udawał lepszego niżeli był w istocie, i ułatwiało mu tę nader trudną rolę.

Sam gospodarz był dla niego wylanym przyjacielem. Uważał go za brata, zwierzał się mu z wszystkiemi tajemnicami. Rozmawiał z nim o rzeczach publicznych, a dla rozrywki oprowadzał go po gospodarstwie, okazując mu wszędzie piękne

owoce swojéj zabiegliwości i pracy. Był to człowiek prawdziwie szczęśliwy.

Jakkolwiek zrazu otoczenie takie niemiłe na Zefirze sprawiało wrażenie, z każdym dniem jednak powoli przyzwyczajał się do niego. Rankiem igrał z dziećmi, z czego Kazio niezmiernie był zadowolony. Antosi pomagał wić wieniec z kwiatów dla mameczki, a Jasiowi musiał w obec dziadunia opowiadać o aniołach jasnowłosych, którzy z nieba zeszli do poczciwego Piasta, aby mu na głowę włożyć koronę...

W takiém towarzystwie, przy takich obrazach życia i przy rozkosznych wspomnieniach z owéj podróży nocnéj, byłby może Zefir powoli napoił duszę jakiém lepszém i szlachetniejszém uczuciem, gdyby Nemezys pierwszych źle postawionych kroków nie przywięzywała się do stóp człowieka i nie ścigała go do końca!

Po dwóch tygodniach było już Zefirowi w tym domu tak dobrze, że już, prócz wspomnienia owéj nocy pamiętnéj, o niczém inném nie myślał! Pogodził się z ży-

ciem cichém, z ludźmi poczciwymi i byłby może nawet zupełnie o swojéj przeszłości zapomniał, gdyby sama przeszłość o nim nie pamiętała!

Śród pięknego lipcowego dnia przyszedł posłaniec z poczty i przyniósł mu list ze Lwowa. Jasnowłosa Antosia pochwyciła z rąk posłańca ten list, a trzymając go tak wysoko, aby Kazio nie dostał, rzekła do Zefira:

— Wujaszku! (powszechnie nazywano go wujaszkiem) wujaszku! Za ten list opowié nam wujaszek piękną historję o królowej Jadwidze, która z miłości dla kraju wybrała brzydkiego męża!

— Oddaj list wujaszkowi — zawołał starszy Józio — może w tym liście jest jaka bardzo przyjemna dla wujaszka wiadomość! Czy nie widziałaś, jak tatko prędko za list chwytał, gdy mameczka była u cioci?

Zefir z dziwną ironją patrzał na list. Wiedział czém ten list jest dla niego. Był on gorszym w téj chwili od dotknięcia się jadowitego gadu... Nie sięgał po

niego tak prędko, może sądził, że w rękach niewinnych dzieci straci choć część swego jadu?..

W téj chwili ozwała się zdala wiejska muzyka. W powietrzu była cisza. Na niebie nie było żadnéj chmurki. Dojrzewające kłosy i skoszona na łąkach trawa posyłały wraz z tonami muzyki dziwnie przyjemną woń swoją do siedzących w ganku szczęśliwych na pozór ludzi.

Tony muzyki rosły coraz więcéj, przeplatane wesołym chórem. Wreszcie ukazał się w bramie orszak weselny i wśród ochoczych pląsów rozradowanéj młodzieży zmierzał ku gankowi.

Dziewczynka jasnowłosa położyła list na kolanach Zefira i wlepiła oczy w orszak weselny.

Najprzód do dziadunia zbliżyła się panna młoda z druchnami i hojnie kwiatami ubrane głowy schyliły ku ziemi, prosząc o błogosławienstwo. Potém poszły po kolei, a w końcu przystąpiły do Zefira.

Zefir zacisnął usta. Coś go w sercu mocno zabolało... Dziwnie piękny świat roz-

taczał się przed nim. Orszak weselny stał przed nim uwieńczony kwiatami. Na wszystkich twarzach była radość i zadowolenie. Staruszek w krześle błogosławił jak patrjarcha weselnych.... A tam za weselnym orszakiem tak pięknie zielenią się drzewa, kwitną łąki, falują kłosy... wszystko oddycha wonią i szczęściem.... A na jego kolanach leży list, leży pozew złego ducha, aby się uiścił z danego słowa...

— Czekaj wujaszku — zawołał Kazio wyskakując na ławkę — ja za wujaszka pobłogosławię!

I naśladując starego dziadunia, nakreślił nad młodą parą krzyż w powietrzu...

— Dobrześ zrobił, żeś mnie wyręczył!— ozwał się z gryzącą ironją Zefir.

— Dlaczego? — zapytała Antosia — czy wujaszek ma nieszczęśliwą rękę?

— Tak... — mówił z tym samym uśmiechem Zefir — czasami się trafia... taka nieszczęśliwa ręka!

— Nie słuchaj Antosiu — zawołał dziadunio — ręka wujaszka jest szczęśliwsza od mojéj. Kto tyle poświęca się dla spra-

wy dobréj, jak wujaszek, ten ma w rękach swoich tę samą moc, jaką mieli apostołowie, gdy na głowy uczniów swoich ręce kładli!.. Idź Kaziu, niech ci wujaszek ręce na głowę położy.

Z powagą przystąpił Kazio do Zefira, który mu na głowie położył ręce z uśmiechem prawdziwego szatana.

— A teraz ucałuj tę rękę — mówił daléj dziadunio — bo ta ręka tyle znaczy, co ręka kapłana bożego!..

Nie mógł Zefir dłużéj znieść tego dziwnego igrzyska ironji mimowolnéj. Wstał szybko z ławki, wziął list do ręki i krokiem znamionującym wewnętrzne wzburzenie pośpieszył do swojéj izdebki w oficynach.

Tam rozdarł kopertę i zaczął list czytać.

W liście tym były wyrazy, jakiemi mówi się do kupionego niewolnika, nad którym ma się prawo miecza. Opiekun nielitościwy przypominał mu, czém był, nim go kupił, i za jaką cenę go zgodził. Zamiast przypomnienia mu jego przeszłości, załączył nowy drukowany list gończy, wydany

świeżo przez sąd za jakieś nowo wykryte oszustwo. Opiekun zostawiał mu do wyboru, albo służbę dalszą, albo przysłanie rewizora policji... i żądał natychmiast głośnego znaku życia i raportu dokładnego.

Zefir czytał i zgrzytał zębami. Podarł list w kawałki i podeptał...

Długo, długo chodził po izdebce zamyślony. A w myślach swoich był podobny do ptaka tłukącego się w klatce zamkniętéj. Gdziekolwiek uderzył, tam głowę skrwawił. Wszędzie druty i druty żelazne!...

Mógł wprawdzie uciec zpod jego opieki, mógł gdzieś daléj wyjechać, gdzie go nikt nie znał i pod nazwą emigranta nieszkodliwie ukrywać się przed listem gończym... Ale po bliższéj rozwadze było to rzeczą niepodobną. Zawsze groziło mu niebezpieczeństwo daleko większe, niżeli niebezpieczeństwo od rewizora policji. Opiekun bowiem jego dał mu niezbite dowody swoich dziwnych, rozległych stosunków. Zadziwił go urządzoną z nadzwyczajnym sprytem ucieczką z pazurów Pan-

draczka i zdawało się, że oko jego zawsze i wszędzie go widzi. Przed tém obliczem niepodobna się było uchronić, jak przed okiem policji...

Zefir stąpał z coraz większą siłą po podłodze i zdawało się, że deski na wskróś poprzebija... A tam w dali, poza kwitnącą łąką odzywają się tony muzyki... widać pląsające pary przed chatą pod strzechą, a z chaty wychodzi staruszek i z szczęśliwym uśmiechem patrzy na tańcującą młodzież...

Przed tym światem pięknym, roskosznym, przeciąga zwolna jakiś dziwny, czarny budynek z kratami żelaznemi u okien, z dźwiękiem kajdan wewnątrz... i ciągnie jakąś grobową atmosferę za sobą...

Zefir się wzdrygnął. Potarł ręką po czole, bo go tam coś strasznie paliło, wydarł garść włosów, ale téj myśli palącéj z głowy nie wydarł. Została w mózgu i wgryzała się coraz głębiéj...

Zbliżył się do kufra... wyjął z kryjówki kilka kartek cienkiego, drobno zadrukowanego papieru... uśmiech gryzący prze-

leciał mu po brzydkiéj w téj chwili twarzy... i wyszedł do dworu.

— Czy pan Kazimierz jest w swoim pokoju? — zapytał dziadunia, który z rozkoszą patrzał na dzieci.

— Zapewne jest, — odpowiedział, — bo widziałem go, że tam szedł.

— Niech wujaszek lepiéj z nami zostanie! — zawołał Kazio i chwycił go za rękę.

— Zostań wujaszku, zostań z nami! — wołała Antosia biorąc go za drugą rękę.

Zefir stał chwilę między dziećmi, jakby się wahał. Kazio o jasnych kędzierzawych włosach wyglądał jak aniołek Rafaela, a starsza dziewczynka w długiéj powiewnéj sukience, była podobną do anioła-stróża.

— Puśćcie mnie, — zawołał szorstko, — mam do tatuńcia pilny interes!

Mówiąc to, wydarł się z rąk dzieci i wpadł do pokoju Kazimierza.

Pan Kazimierz porządkował właśnie swoje książki gospodarskie przy oknie. Z biurka była jedna szufladka wysunięta.

Zefir zbliżył się do téj szufladki z drukowanemi kartkami w ręku... Wyciągnął rękę nad szufladką... otworzył... a kartki bez najmniejszego szelestu spadły do kryjówki...

Ponieważ gospodarz był odwrócony, nachylił Zefir głowę nad szufladką, aby widzieć, czy kartki dobrze leżą.. gdy nagle twarz jego zafarbowała się szkarłatem i zbladła.. Szybko sięgnął do szufladki, aby kartki drukowane napowrót wyjąć, gdy nagle gospodarz się obrócił. Już było zapóźno!

— Cóż tam tak mocno pana zajęło? — zapytał z dobrodusznym uśmiechem pan Kazimierz.

— Do kogo należy portret téj kobiety? — zapytał z dziwnym wyrazem na twarzy.

— Jaki portret? — zapytał gospodarz.

— Który leży w téj szufladce...

— Nie poznałeś pan?.. To portret mojéj żony, gdy miała lat osiemnaście...

— Dziwne... dziwne podobieństwo do pewnéj osoby.... — jąkał Zefir, a twarz

pięknéj towarzyszki z owéj nocnéj ucieczki przesunęła się zwolna przed jego oczyma...

Pan Kazimierz zamknął tymczasem szufladkę.

XXVI.

Zefir wpadł do swojéj izdebki jak opętany. Włosy jeżyły mu się na głowie, twarz kurczyła się boleśnie. Zdawało się, że zły duch, który go opanował, walczył w nim z jakąś lepszą, odzywającą się istotą...

Siadł do stolika i wziął do ręki papier listowy. Po chwili podarł go w kawałki i podeptał. Wziął pióro, zamaczał w atramencie... i pokruszył je na drobne drzazgi. Wreszcie wstał od stolika i zaczął biegać po izdebce.

Na czoło jego występował pot duży, kroplisty. Twarz jego bladła coraz więcéj, jakby przebywał jaką trawiącą chorobę. Tylko oczy iskrzyły się coraz więcéj, bo

przed temi oczyma stała teraz piękna kobieta ze łzami w oczach, na które padało białe światło księżyca... i szeptała mu: ja czuwam nad tobą, zawsze jestem przy tobie!...

Po godzinie takiéj dziwnéj walki padł Zefir zmęczony na sofę. Pierś jego zaledwie mogła oddychać. W téj chwili otworzyły się zwolna drzwi, a na progu okazała się brodata twarz miejscowego pachciarza, który dziwne miał podobieństwo w téj chwili do jednego z owych uczniów nowego zakonu, który mistrza swego za srebrniki sprzedał...

— Czego chcesz! — krzyknął Zefir i zerwał się z sofy jak wściekły, ściskając do żyda pięści.

Żydek umknął za próg, przywarł drzwi i przez małą szparę rzekł do Zefira:

— Wielmożny pan dobrodziéj mnie nie poznał? Jestem Abraham, tutejszy pachciarz, który wozi listy na pocztę...

Zefir rozśmiał się śmiechem przeraźliwym, rozburzył ręką włosy na głowie i zawołał:

— Nie, niepodobna mi się wymknąć!.. Niech się dzieje wola... Abramku, zaczekaj, dam ci list!

Przestraszony Abraham już nie miał odwagi szerzéj drzwi otworzyć. Pozostał w sieni i tylko wąską szparą patrzał na piszącego Zefira. Nagłe zerwanie się Zefira z sofy taką nabawiło go trwogą, że dotąd jeszcze nie mógł się uspokoić.

Wreszcie skończył Zefir pisanie. Zapieczętował, położył adres i zbliżył się do drzwi. I on nie miał w téj chwili odwagi drzwi na rozcież otworzyć, nie miał odwagi żydowi w oczy spojrzéć... Wysunął list wązką szparą, a za szparą czekały już chude palce pachciarza, który poczuwszy list w ręku, czémprędzéj drzwi zatrzasnął.

Zefir odetchnął teraz głęboko, jak człowiek, który wielkiéj rzeczy dokazał. Wyprostował się nawet i z pewną dumą zaczął chodzić po pokoju... Gdyby kto w téj chwili patrzył na niego, myślałby, że spełnił najlepszy uczynek!

I złe ma swoją dumę i pychę, jeśli

przechodzi siłę człowieka, a mimo to odnosi w nim zwycięztwo!..

Zefir uspokoił się widocznie. Wyrozumował sobie, że choć niedobrze zrobił, ale inaczéj zrobić nie mógł. Miał do wyboru albo zgubę własną, zgubę na całe życie, albo zgubę poczciwego człowieka, który po niejakim czasie mógłby znowu przyjść do dawnego szczęścia, w jakiém się dzisiaj znajduje. Z pomiędzy dwojga złego wybrał mniejsze...

Tak myślał sobie Zefir, a nawet kontent był z siebie. Zapalił cygaro i myślał nad dalszą swoją przyszłością.

Rozumie się, że z tego dworu jak najprędzéj, dla własnego bezpieczeństwa, musiał wyjechać. A nawet z pobudek czysto psychologicznych musiał jak najprędzéj oderwać się od tych ludzi, których szlachetność była teraz dla niego największą karą i paliła go w głębiach duszy, jak rozpaloném żelazem. Musiał jak najprędzéj pozbyć się wszystkiego tego, co mu niegodny czyn jego przypominało

i przykryć to jakiém inném wrażeniem, jak to już nieraz w życiu praktykował.

Najtrudniéj jednak było mu z owém wspomnieniem nocnéj ucieczki. Twarz kobiety młodéj, jéj łzy światłem księżycowém oświecone, demoniczna wibracja jéj głosu, gdy jego rękę ściskała... nie rokowały mu bynajmniéj spokoju!

W téj chwili zapukał ktoś do okna. Zefir się wzdrygnął, jakby nagle obaczył zjawienie ducha.

W oknie ukazała się teraz prześliczna, aniołkowata twarz Antosi. Jéj jasne włosy igrały swawolnie z wietrzykiem. W ręku trzymała mały deserowy talerzyk, wyobrażający liść winogradu. Na talerzu rumieniły się duże jagody.

Był to przecudowny, w ramy okna zamknięty obrazek. Duże niebieskie oczy Antosi patrzały z rozkoszą na Zefira.

— Mameczka i tatuńcio posyłają wujaszkowi jagody, które rwaliśmy razem: ja, Józio i Kazio!

Rzekłszy to, podniosła liść winogradowy z jagodami do góry i wyglądała w

téj pozie jak urocza rusałka. Zefir stał chwilę jakby odurzony. Między tym pięknym obrazem a sobą widział dziwny, nader nieprzyjemny kontrast! Raził go ten obraz. Odwrócił oczy i ofuknął białowłosą dziewczynkę:

— Powiedz mamie Antosiu, że ja jagód nigdy nie jadam! Niech je zjedzą ci, co zrywali!

Po téj małéj na pozór scenie zachmurzyło się znowu czoło Zefira. Znowu długi czas chodził po izdebce krokiém przyśpieszonym. Twarz jasnowłoséj dziewczynki zlewała się na jego myślach z twarzy kobiety o łzach oświeconych księżycem...

Stanął nagle na środku izdebki, tupnął nogą w podłogę aż okna zabrzęczały i zawołał:

— Trzeba ztąd uciekać, uciekać jak najprędzéj! Tu mi duszno, tu nie ma powietrza dla mojéj piersi!...

Z gorączką sprzątał wszystko ze stołu, do szuflady powkładał jakieś odcinki zapisanego papieru, zamknął kufer i wyszedł ze dworu. W drodze przez gazon

musiał zamknąć oczy, bo widok kwiatów raził go...

W ganku była właśnie zgromadzona cała rodzina. Dziadunio siedział w swojém krześle i wydawał się dzisiaj słabszym niżeli zwykle. Często drzymał ze zwieszoną na piersi głową. Matka Antosi patrzała smutno na niego.

— Czy już znowu nadciąga to licho do nas? — zapytał przebudzony w téj chwili dziadunio.

— O czém myśli ojciec? — zapytał pan Kazimierz i spojrzał w około spokojnym wzrokiem.

— Przecież czuję zimniejszy prąd powietrza — odparł dziadunio — a wiecie, że każdą chmurę ulewną przeczuję, gdy jest jeszcze za górami!... Czy wy nic nie czujecie?... Mówię wam, że jeszcze dzisiaj będzie burza!...

W téj chwili zbliżył się Zefir do ganku. Miał w ustach duże, nadzwyczaj mocne cygaro. Dym z cygara krztusił go i często zasłaniał mu całą twarz, która

miejscami miała czerwone pręgi, jakby z nocy bezsennéj.

— Pan zapewne jesteś dzisiaj cierpiącym, — ozwała się gospodyni, — jagody odesłałeś pan napowrót.

— Jestem rzeczywiście trochę rozstrojony, — odparł Zefir, — i właśnie przychodzę, aby z państwem podzielić się niedobrą nowiną... Antosiu, Józiu i Kaziu! przynieście mi kilka kwiatków z gazonu.

Gdy dzieci się oddaliły, biegnąc na wyścigi do klombu z kwiatami, zniżył Zefir głos i rzekł:

Otrzymałem wiadomość, że już mnie tu w okolicy śledzą. Muszę dziś jeszcze pożegnać państwo!...

Blada twarz dziadunia ożywiła się. Malował się na niéj smutek i rozrzewnienie.

— Mój Boże! — zawołał drżącym głosem — jesteśmy we własnym domu naszym jako zwierz w kniei. Nigdzie nie spocząć, nigdzie choć chwilkę spokojnie nie odetchnąć. Trąbki myśliwych i szczekanie psów gończych pędzą nas z miejsca na miejsce, od jednéj debry do drugiéj, aż

schwytani na arkan, związani i skrępowani, legniemy do stóp naganiaczy jako wielce smaczna zwierzyna!...

Młoda kobieta posmutniała i miała łzy w oczach. Jéj pierś oddychała głęboko.

Gospodarz wyciągnął rękę do Zefira, uścisnął go serdecznie i rzekł:

— Jeżeli myślisz, bracie, że szybkiém wydaleniem się od nas wyrządzasz nam niejaką przysługę, to się mylisz. Oczywiście bezpieczeństwo twoje jest na pierwszém miejscu. Twoje bezpieczeństwo jest więcéj niż osobistém. Na nas jednak nie miéj żadnego względu. Jeżeli ci bezpieczniéj u nas niż gdzieindziéj, to siedź u nas jak najdłuższe lata!

— Dziękuję państwu za tak szlachetną gościnność — jąkał się Zefir, paląc coraz mocniéj cygaro, — ale z niéj nie mogę w żaden sposób korzystać! Nietylko bowiem chodzi mi o bezpieczeństwo osobiste, ale o obowiązki...

— Jeżeli tak, — ozwał się dziadunio — to grzechem byłoby z naszéj strony zatrzymywać cię. Idź w imię Boga i pracuj

na ojczystéj niwie za tych, którzy w młodości swéj pracować nie umieli, a dzisiaj już nie mogą!

Nastąpiło długie, smutne milczenie. Tylko wesołe krzyki dzieci uganiających się za kwiatami przerywały je niekiedy.

Po długiéj pauzie ozwał się gospodarz:

— Czasami sobie myślę, że w obec moich rodaków jestem wielkim zbrodniarzem. Wielu, bardzo wielu podobnych do ciebie przechodziło przez progi moje i wychodziło znowu na nowe tułactwo. Otóż patrząc na nich, głodnych i zbiedzonych, niepewnych jutrzejszéj chwili; patrząc na nich, poświęcających się bez granic, bez najmniejszego egoizmu, porównywam siebie z nimi, i zdaje mi się, żem występny. Mam dzięki Bogu chléb i na chlebie... mam szczęście w domu, o jakiém tylko człowiek marzyć może... Bóg błogosławi mi dziatki i pracę w roli... sąsiedzi także, dzięki Bogu, radzi do mnie w gościnę przybywają... więc powiedzże sam, bracie, nie jest to występkiem czuć się szczęśliwym wtedy, gdy tysiące wkoło nas są

nieszczęśliwymi?... Powiedz sam, czyż to nie zbrodnia nawet?

— Nie, — odparł ponuro Zefir — być szczęśliwym nie jest wcale zbrodnią. Przeciwnie, jest to być oazą zieloną wśród spiekłych piasków pustyni, w któréj znużony pielgrzym znajduje cień drzewa i pokrzepiającą krynicę!... Tylko że niektórzy przychodzą do téj oazy już za późno. W takim razie kubek zimnéj wody zabija ich!

Zefir chciał powstać z ławki i odejść, gdy zbiegły się dzieci z kwiatkami. Otoczyły go dokoła, siadły na jego kolanach i zaczęły go stroić w najpiękniejsze bratki, róże i goździki...

— Jak moje dzieci pana kochają! — ozwała się matka i otarła łzę, — czy będziesz pan o nich pamiętał?...

Zefir chciał na to odpowiedzieć, ale dym z cygara zakrztusił go w téj chwili.

XXVII.

Wieczorem, o zmroku, nie żegnając się „dla ostrożności“ z dziećmi, wyjechał Zefir z gościnnego domu.

Droga prowadziła przez las. Księżyc zeszedł już na niebie i widniejsze w lesie miejsca oświecił białém swém światłem.

Dziwne były to widoki dla owiniętego burką podróżnego. Co chwila rysował się przed nim jakiś czarny olbrzym w groźnéj postawie. W miarę gdy się zbliżał do niego, rozkładał ręce, podnosił do góry jakąś broń dziwną, jakby ją chciał rzucić na podróżnego... i powoli, powoli układał się w spokojne, stojące przy drodze drzewo!..

Zaledwo to nastąpiło, już tam w oddali zaczęła znowu majaczyć jakaś banda rozbójników z olbrzymiemi brodami, którzy szeregiem zbitym stali w poprzek drogi, aby podróżnego uchwycić, zrabować i... może zabić!

Podróżny zasłaniał sobie oczy i nie spojrzał, aż przeminęła ta dziwna grupa drzew i została daleko za nim...

Gdy go tak ziemia swemi drzewami trwożyła, podniósł oczy do nieba, aby się gwiazdom przypatrywać. Ale tam na niebie ujrzał dwie gwiazdki blisko siebie stojące... gwiazdki te przybierały coraz więcéj podobieństwa do oczu młodéj kobiety z owéj nocnéj ucieczki... a w tych oczach błyszczały w blasku księżyca dwie łzy perłowe...

W téj chwili stanął wózek na wzgórzu, przy małéj karczemce, zkąd można było w dolinie widzieć w szczęściu zasypiający dwór biały, który go tak gościnnie przyjął....

Zefir kazał stanąć furmanowi. Wszedł do karczemki, a konie odesłał do dworu.

Dlaczego w téj karczemce stanął? Dlaczego wózek odesłał do dworu? O tém nie umiał sobie zdać sprawy.

Karczemka była uboga. Stary żyd, żydówka i dwoje dzieci byli jedynemi jéj mieszkańcami.

— Czy mogę tu zanocować? — zapytał Zefir zdziwionego żyda, który dziwnie patrzył na jego ubiór porządny.

— Mogę wielmożemu panu tylko wiązkę słomy dać! — odpowiedział żyd.

— Dobrze, dawaj!... Masz kawałek świeczki?

Za godzinę leżał Zefir na słomie rozesłanéj w dużéj szynkownéj izbie. Przed nim, w stłuczonéj flaszce stała mała, łojowa świeczka. Zefir trzymał w ręku książkę i chciał na niéj czytać. Litery jednak plątały mu się nieustannie. A z pomiędzy wierszy wychylała się twarz pięknéj kobiety ze łzami w oczach, które wtedy księżyc tak dziwnie oświecił... Twarz ta była smutną, oczy patrzyły z boleścią, jakby mu wyrzucać chciały...

Zefir zagasił świeczkę i nakrył się z

głową, aby téj twarzy nie widzieć, choćby innym razem chciał patrzyć na nią całe życie!.. Ale długo, bardzo długo nie odstępowała ta twarz od niego...

Wreszcie nad ranem skleił mu sen powieki. Śniło mu się, że leży na żydowskim barłogu, ale barłóg ten jest mu stokroć milszy od pańskich wygód na dworze, bo leży z sumieniem spokojném...

Gdy oczy otworzył, było już dobrze rano. Na drzewach za oknami śpiewały ptaszki, muszki o przecudnych skrzydełkach wylatywały z okna na słońce, krówki na polance zwoływały siebie...

Zefir wyszedł przed karczmę, odetchnął świeżém powietrzem i uczuł się spokojniejszym. Wczorajsze obrazy dręczące straciły wiele ze swojéj barwy jaskrawéj. Nie było mu bardzo dobrze, ale pomyślał sobie, że inaczéj już być nie może. Ze swojéj sytuacji nie widział żadnego innego wyjścia, tylko albo śmierć, albo więzienie. Przed jedném i drugiém wzdrygał się, szedł więc jedyną drogą, jaką miał przed sobą.

— Czy masz konie? — zapytał się żyda, który właśnie co skończył swoje pacierze.

— A zkądby ja konie wziął? — odpowiedział żyd — inni mają konie, ja muszę się obchodzić!

Zadziwiła go ta dziwna moralność żyda. Spojrzał na niego z uwagą, czy tego nie mówił z jaką myślą uboczną.

— Widzisz pan, — jaśniéj wyłożył mu rzecz spokojny karczmarz, — ja jestem biedny żyd, karczma biedna, zkądże jabym na konie zarobił? A kraść nie pójdę! Inni to jakoś umieją i dobrze im z tém!

— A gdybyś umiał, tobyś kradł! — rzekł z ironicznym uśmiechem Zefir.

— Ja tego nie mówię, może być, żebym kradł, — odparł z powagą żyd, — ale do tego jeszcze więcéj trzeba jak umieć!

— A czegóż trzeba? — z dziwną ciekawością zapytał Zefir i wlepił oczy w żyda.

— Ja nie wiem czego trzeba, — odpowiedział żyd, — ale ja wiem, że tego nie mam czego trzeba.

Rzekłszy to zaczął sobie wesoło i swobodnie wyśpiewywać półgłosem „majufes,“ jakby się cieszył, że tego nie ma, co potrzeba. Zefir patrzył dziwnie na żyda. Po chwili urwał żyd „majufes“ i mówił daléj:

— Bo widzisz pan, u nas w piśmie stoi, że każdy zły człowiek ma coś w sobie!

Zefir nachmurzył czoło. Przeszedł się kilka razy po izbie, a twarz kobiety ze łzami znowu stanęła mu przed oczy.

— Cóż, czy będą konie, czy nie? — zapytał nagle.

— Zkądże będą konie, kiedy ich nie ma! — odparł żyd, — wieś bardzo daleko, a w polu roboty, nikt nie pojedzie. Ale ja wielmożnemu panu dam radę. Niech się pan do południa zatrzyma, to solarze tędy po sól pojadą.

Zefir wysłuchał żyda spokojnie. Nie nalegał wiele na niego. Zdaje się, że się godził na jego propozycję. Coś go mimowolnie przytrzymywało w téj karczmie, niedaleko tego dworku gościnnego, który

tak w dolinie majaczył pomiędzy staremi drzewami jak biały łabędź śród sitowia. Wziął książkę do ręki i wyszedł do lasu.

Minęło południe, nadszedł wieczór, żadna fura nie okazała się. Zefir jakoś nie bardzo się niecierpliwił. Coś go tutaj dziwnie przytrzymywało i nie pozwalało mu oddalać się od tego białego dworku tam w dolinie...

Ku wieczorowi zjadł kawałek chleba z sérem. Przypomniał sobie, jak mu ponętnie przedstawiał wygodne życie po dworach jego opiekun i zgrzytnął zębami. Zacisnął pięści, aż paznogcie w ciało się wpiły...

Noc przeszła, zaświtał ranek, wstało słońce, a żadnéj fury na leśnéj drożynie nie było!

Koło południa pojawił się wózek górski. Zefir odwrócił oczy, aby go nie widział. Żal mu było opuścić to miejsce, dlaczego?.. sam nie wiedział! Żyd przybiegł do niego z wieścią o wózku, Zefir długo udawał, że nie słyszy, a w końcu powiedział żydowi, że wózek nie-

wygodny, że konie za słabe, i w karczmie został.

Pod wieczór pokryło się niebo chmurami. Zaczęło grzmieć i łyskać się.

Żyd wcześnie pozamykał karczmę, któréj dach zaczął przeraźliwie trzeszczeć.

— Dziś panu pościelę w alkierzu, — rzekł do Zefira, — bo tu trochę z powały kapie!

Za godzinę leżał Zefir w alkierzu na słomie, a w koło niego szalała burza. Przypomniał sobie dom rodzinny, przypomniał sobie pieszczoty matki, a łzy cisnęły mu się do oczu... I Bóg litościwy zesłał mu sen, aby choć we śnie doznał téj roskoszy, jakiéj na jawie doznać nie mógł...

Zefir śnił o matce, gdy go dzieckiem tuliła do siebie, śnił o ojcu, który go się wyrzekł i od serca swego odepchnął, śnił o przyjaciołach, jakich nigdy nie miał w życiu... wreszcie śnił o pięknéj kobiecie ze łzami w oczach, na które księżyc tak dziwne rzucał światło... aż wreszcie zbudził go ze snu jakiś krzyk głośny.

Zefir otworzył oczy. Na dworze grzmiało i łyskało, lasy szumiały przeraźliwie... a do bramy karczmy dobijali się jacyś podróżni. Zefir wyjrzał oknem... i obaczył dwa wozy, na których siedzieli żołnierze z bronią.

Dziwna rzecz, Zefir nie uczuł bynajmniéj bojaźni. Odszedł od okna i położył się na słomie.

Do izby szynkownéj weszło teraz kilku podróżnych. Jedni klęli na deszcz i burzę, drudzy otrzepywali płaszcze, a inni wołali prędko o wódkę.

Zefir spojrzał przez szparę ściany. W izbie szynkownéj siedział na słomie jakiś mężczyzna w czapeczce urzędowéj płaszczem owinięty. Koło szynkfasu stali żołnierze i pili wódkę.

— Czy nie macie czém zakąsić? — zapytał kapral jakiegoś wysokiego w połowie po żołniersku ubranego mężczyzny.

— Trzeba z wozu przynieść, — odparł tenże, — tam jest prowjant na wózku.

Kapral przyniósł za chwilę worek i

rzucił na ziemię, bo był ciężki. W worku zabrzęczało jak żelazo.

Wysoki mężczyzna schylił się do worka i zaczął szukać przekąski. Najprzód dobył kajdanki i rzekł do kaprala:

— Patrzcie, z tych już pewnie nie ucieknie ptaszek!

Po chwili wyjął drugie. Obejrzał starannie i na bok odłożył.

— A drugie dla kogo? — zapytał kapral krając słoninę nożem.

— Drugie... dla dziedzica, jeśli ptaszka schował! — odparł z szatańskim uśmiechem policjant.

Na widok pierwszych kajdan nie wzdrygnął się Zefir, drugie zawarły mu oddech w piersi...

Rzucił się na słomę, obojętny, czy go kto z żołnierzy usłyszy czy nie. Sam nie wiedział, co się z nim stało. Nic nie myślał, o niczém nie marzył, a jednak przeminęła godzina, zanim znowu do zmysłów powrócił.

A gdy w koło siebie spojrzał, było już

wszędzie ciemno i cicho. Podróżni wyjechali daléj.

Zefir może poraz pierwszy szczerze westchnął do Boga, aby go jaką szlachetną myślą natchnął... i zdawało mu się po tém westchnieniu, że zpośród ciemności wyszła do niego kobieta ze łzami w oczach i kazała mu iść za sobą...

Wstał z barłogu, zarzucił płaszcz na siebie, wziął czapkę i wyszedł z karczmy.

Niebo wypogodziło się, jakby mu pan Bóg chciał drogę ułatwić. Białe gwiazdki mrugały do niego, a blady księżyc uśmiechał się jak dobry i wierny przewodnik... Zefir szedł drogą ku dolinie...

Szedł drogą i ścieżkami, i rzecz dziwna, nie zbłądził. W prostym kierunku zbliżał się do białego dworku, który tam majaczy śród starych, a tak dobrze znanych mu lip... Przed nim idzie obraz kobiety młodéj ze łzami w oczach, a te oczy proszą, błagają go, aby szedł daléj, daléj w dolinę...

Wreszcie obaczył już dworek przed so-

bą. We dworku było światło. Widać, że już tam przybyli...

Zefir dobył ostatnich sił, przyśpieszył kroku i wpadł wprost do pokoju, w którym było owe biurko...

W tym pokoju zastał właśnie urzędnika, policjanta i dwóch żołnierzy. Opodal stał Kazimierz, a przy nim blada jak śmierć żona. We drzwi wtaczał służący krzesło z dziaduniem.

Zefir osłupiał na ten widok i stał tak chwilę u progu. Zajęci przy biurku nie widzieli go.

Komisarz policyjny otworzył właśnie szufladkę w biurku... i... patrzał w nią chwilę.

— To portret mojéj żony! — rzekł ze wzruszeniem Kazimierz i westchnął.

— A te papiery? — zapytał komisarz.

— To listy nasze, gdyśmy byli narzeczonemi! — odparł całując żonę w rękę.

Komisarz nie sięgnął po papiery... szufladkę napowrót wsunął.

Tego już nie mógł znieść stojący przy progu Zefir. Postąpił szybko naprzód i zawołał:

— Tam pan nic nie znajdziesz — oto jestem!

Krzyk przeraźliwy rozległ się w pokoju. Kazimierzowa zemdlała, Kazimierz zbladł jak trup, a dziadunio zaruszał ustami, podniósł rękę, ale głosu mu nie stało...

Tymczasem straż rzuciła się na Zefira i wzięła go za obie ręce...

— Bardzo dobrze, żeś pan przyszedł, — rzekł komisarz, — bo inaczéj wziąłbym był gospodarza!

A podczas, gdy omdlałą kobietę trzeźwiono, skinął dziadunio na Zefira, aby się do niego zbliżył. Zefir zbliżył się i ukląkł. Dziadunio położył drżące ręce na jego głowie i rzekł urywanym głosem:

— Idziesz na cierpienie mój synu... lecz zważ, że w cierpieniu jest granica, poza którą samo przez się jest już czynem!... Czego my zrobić nie umieli, to wy musicie — wycierpieć!

A gdy tych słów domawiał, pobladła jeszcze bardziéj twarz jego, a głowa opadła na piersi.

Dziadunio już nie żył!

XXVIII.

Od kilku dni w mieście obwodowém nie mówiono o niczém innéin, jak tylko o schwytaniu i osadzeniu w więzieniu jakiegoś bardzo niebezpiecznego człowieka.

Mówiono również o tém, że zjechała do miasta jakaś nadzwyczaj piękna kobieta z garbatym bratem, i często oboje więźnia odwiedzają. Więzień miał być wywiezionym do Lwowa, ale rozchorował się i przeniesiono go do szpitala.

Takie wieści obiegały po ulicach miasta. Mówiono także, że owa piękna kobieta, ile razy wracała z bratem i jakąś starszą kobietą ze szpitala, tyle razy miała oczy czerwone od płaczu, a przyszedłszy do izdebki gościnnéj „pod Opatrznością“,

dostawała spazmów takich, że aż trzeba było lekarza przywoływać.

I wszystko, co ludzie opowiadali na mieście, było prawdą.

Od pięciu dni mieszkała w izdebce „pod Opatrznością“ Anna z Małgorzatą, a na poddaszu, jak zwykle, Jerzy.

Szóstego dnia, przyprowadziwszy Annę do domu z wizyty szpitalnéj, wylazł Jerzy na swoje poddasze i zamknął się na cały wieczór. Zaświecił świeczkę i usiadłszy przy stole, podparł głowę rękami i zadumał się.

A dumał o pięknych swoich snach i marzeniach, które miał w tém samém mieście, gdy nie był jeszcze kaleką, gdy świat cały stał dla niego jeszcze otworem... Mój Boże, jak się wszystko zmieniło!

— Ona go kocha! — mówił do siebie smutno, — a ja dziwak roję sobie czasem, że szlachetne jéj serce niezupełnie odwraca się odemnie... i szczęśliwy jestem, kiedy jak żebrakowi jałmużnę, rzuci mi jakie cieplejsze spojrzenie!.. Jakże ona

nie może przenieść go nademnie? Czyż on tego mniéj godnym? Czyż on nie pracował również jak ja, choć innym sposobem, na niwie ojczystéj? Czyż jemu nie należy się za to nagroda?.. Dziwakiem jestem, dziwakiem! Krzywém, zyzowatém okiem patrzę na świat i zdaje mi się, że wszyscy ludzie tak patrzyć muszą!.. A może oni wszyscy są zyzowaci?.. Bądź co bądź, świat mi nie przyzna słuszności, bo tamtych jest więcéj!..

Westchnął głęboko i milczał czas niejaki. Po chwili rzekł znowu do siebie:

— Gdy go widzi, jest cała rozpromieniona, jest wniebowzięta! On tylko nią żyje, nią oddycha!.. I czémże ja jestem pomiędzy niemi? Czy jestem tylko cieniem ich szczęścia, czy mam być blisko nich dlatego tylko, abym patrzał na nich, jak są razem szczęśliwi? I na cóż ten cień ma im zawadzać? Cóż on tam znaczy?

Tu powstał Jerzy i stanął na środku izdebki. Spojrzał na ścianę i wzdrygnął się mimowoli. Na ścianie bowiem rysował się w téj chwili jego cień, cień nadzwy-

czaj niekształtny, cień garbatego człowieka!

Jerzy patrzył czas długi na swój własny cień. Tak siebie jeszcze nigdy nie widział! Biedny kaleka!..

— Kalectwo jest wielkiém nieszczęściem! — rzekł po chwili do siebie i zwiesił głowę na piersi.

I długo, bardzo długo stał w téj postawie. Dwie łzy toczyły mu się po bladéj twarzy.

— Tak jest, — powtórzył znowu, — kalectwo jest wielkiém nieszczęściem, którego świat człowiekowi nigdy nie przebaczy! Bądź dobrym, szlachetnym, bądź świętym i wielkim, ale gdy jesteś przytém kaleką, to ci ludzie tego kalectwa nie darują!

I znowu zamilkł, i znowu duże łzy potoczyły mu się po twarzy.

— A przecież ja ją kocham! — mówił potém do siebie, — przecież obraz jéj stał mi się potrzebą życia, muszę w snach moich mieć ją przed sobą, muszę w nią patrzyć, w jéj oczach tonąć, tak jak to-

nie mucha w słodkim nektarze... muszę być bliskim tego światła, co z jéj oczu świeci, choćbym miał jak ślepa muszka skrzydła w tym ogniu opalić i zginąć!.. Ja ją kocham, kocham... ja nie mogę żyć, aby jéj nie kochać!

Przeszedł się kilka razy po izdebce. Potém stanął na środku, przyłożył rękę do czoła i zawołał:

— Jak to, więc ja jéj kochać nie mogę?.. Czyż to jest tylko szczęśliwém kochaniem, które się zaraz odpłaca?.. Nie, egoistą jestem! Daję grosz, a chcę za niego złotego talentu!.. Czyż nie można kochać — cierpieniem? Czyż to uczucie jest mniéj słodkie? Czyż ojczyzna więcéj nam daje jak cierpienie, a przecież ją kochamy!.. Tak jest, cierpieniem będę ją kochał, tak, jak kocham ojczyznę, jak wszystko dotąd kochałem!..

..... Miłość moją rozkroję na dwie części. Jéj dam szczęście, sobie zostawię — cierpienie!...

Rzekłszy to zgasił świecę i rzucił się na łóżko.

Nazajutrz schodził blady, lecz dziwnie piękny do izdebki Anny.

Anna siedziała przy oknie i modliła się na książce. Miała oczy czerwone od płaczu, a twarz nadzwyczaj bladą. Widać było, że po téj twarzy w tych kilku miesiącach przemknęło wiele bólu, spłynęło wiele łez.

Obaczywszy Jerzego, odłożyła książkę, złożyła usta do słodkiego uśmiechu i rzekła:

— Czytam na twarzy pana, że mi pan zwiastujesz jakąś dobrą nowinę... Ale czyż może być dla mnie jaka dobra nowina na tym świecie... — dodała szybko i zakryła oczy chustką.

Jerzy długi czas patrzał na Annę. Zdawało mu się, że jest w téj chwili podobny do człowieka, któremu przeczytano dekret i który za chwilę ma się rozstać z tym światem. Patrzy więc chciwie jeszcze na ten świat piękny i wesoły, zanim mu oczy zawiążą, zanim usłyszy okropne słowo komendy...

— Czemu pan dzisiaj taki zamyślony?— rzekła Anna — obawiam się czegoś.

— Szczególne wspomnienie z moich dni dziecięcych stanęło mi w téj chwili przed oczyma — odparł Jerzy.

— Ach, dziecięce wspomnienia! Jakże one inaczéj świat nam przedstawiały!... Jakież jest pana wspomnienie?..

— Moje wspomnienie jest dziwne, ale jest ono proroctwem całego mego życia!

Anna zamyśliła się. Głos Jerzego, gdy te słowa mówił, był tak dziwnym!

— Czy nie możesz mi pan coś bliższego powiedzieć o tém szczególném wspomnieniu? — zapytała cichym głosem.

— Będąc dzieckiem — mówił drżącym głosem Jerzy — lubiłem namiętnie słodycze. Razu jednego wybrała się matka do miasta i obiecała mi przywieźć jagody w cukrze smarzone. Od rana do wieczora marzyłem o tych jagodach cukrzonych. Nic innego przed sobą nie widziałem, niczego nie pragnąłem. Sto razy wybiegałem na wzgórek pod figurę, aby obaczyć, czy matka nie wraca!.. Wreszcie ze

zmierzchem wróciła matka, a ja dostałem jagody, jakich jeszcze w życiu nie widziałem!.. Nie chciałem ich zjeść podwieczór, chciałem jeszcze całą noc o nich marzyć, a dopiero przy blasku słońca zakosztować tych słodyczy... Zeszedł dzionek, bracia moi pobudzili się i wyszliśmy wszyscy na piękną murawę — ja miałem w ręku jagody. A kiedy właśnie z najwyższém upragnieniem na te jagody patrzałem, stanęła przedemną biedna sierota, która od dwóch dni nic nie jadła. I przyszło mi do głowy, czyby to nie było dla mnie wielką zabawą, aby te jagody dać téj zgłodniałéj sierocie i patrzyć się, z jaką dziwną rozkoszą ona te jagody jeść będzie?.. I tak uczyniłem... Przyznam się, że widok szczęściem odurzonéj sieroty, która jagody słodkie połykała, sprawił mi daleko większą rozkosz, niżelibym sam jadł!.. Czy sądzi pani, że podobne obrazy nie powtarzają się w życiu?..

— Tak — odpowiedziała żywo Anna — ale żeby taką rozkosz czuć, trzeba być

bardzo szlachetnym, prawie nie człowiekiem!

Jerzy powstał i wyprostował się. Zdawało się, że w téj chwili nie był ułomnym. Zbliżył się do Anny, wziął ją za rękę i rzekł do niéj głosem, w którym było wszystko prócz nadziei:

— Zgadłaś pani, że z dobrą nowiną przychodzę. Wymyśliłem sposób, że go uwolnimy!

Anny twarz spłonęła szkarłatem. Ścisnęła go konwulsyjnie za rękę i wlepiła w niego oczy. Jerzy mówił daléj:

— W godzinie objadowéj niech pani wszystko przygotuje. Za murem szpitalnym niech stoją dobre konie — pół milki do Zamiecia, a ztamtąd wprost do Lwowa. Na wsi nie można się ukryć...

— Ależ zlituj się pan, czyż to być może?.. Straż, mury, krata... Nie, pan mnie tylko łudzisz!

— Więcéj słów tracić nie mogę... bo ich nie mam! Przygotuj pani wszystko...

— A gdzież pan będziesz?

— Ja?.. ja.. na mnie niech pani nie

czeka!.. Będę tam, gdziem dawno być powinien....

— Ach Boże!.. Pan mówisz tak zagadkowo! Czuję trwogę!..

— Świat i szczęście należy do śmiałych! Ja śmiałym być nigdy nie mogłem!.. Niechże więc pani pamięta: za murem szpitalnym, o godzinie objadowéj!

Rzekłszy to, chwycił konwulsyjnie rękę Anny, zostawił na niéj dwie łzy i wypadł z izdebki.

Anna rzuciła się na krzesło bezprzytomna. Przyszedłszy do siebie, zaczęła szybko w głowie porządkować to wszystko, co Jerzy mówił. Było to coś nieprawdopodobnego, a jednak....

W drodze do szczęścia nie jest serce bez pewnego egoizmu. Patrzy tylko przed siebie i nie słyszy tych, co za niém płaczą!... Anna domyślała się, że Jerzy coś zrobi, co będzie z jego strony poświęceniem się — poświęcenie to bolało ją i rozdzierało serce, ale myśl, że ocalonym będzie ten, który całe jéj szczęście stanowi, zagłuszyła na chwilę ból serca i

rozniecił w niém obrazy jak najrozkoszniejsze!..

Z rumieńcem na twarzy, z głośno bijącem sercem wyszła wypełnić rozkazy Jerzego.

XXIX.

W wilgotnéj, wysoko sklepionéj celi siedział Zefir i patrzył zamyślony przed siebie.

Twarz jego dziwnie wyszlachetniała. Była na niéj boleść, wielka, z rozpaczą granicząca boleść, ale boleść ta miała blask wyraźnego, szlachetnego cierpienia. Malowała się w niéj głęboka rezygnacja bez żadnéj iskry nadziei!..

Może poraz pierwszy w życiu miał Zefir uczucie dobrego uczynku, który spełnił. Wprawdzie uczynek ten był iluzoryczny, ale uboga w lepsze przymioty dusza jego chwytała za lada cień dobrego, aby się niém orzeźwić. Nieszczęście swoje uważał jako konieczną ekspjację złego życia, bo wszedł właśnie na drogę, na

któréj tém życiem brzydzić się zaczął. Więzienie dzisiejsze było daleko znośniejsze od kilku chwil ostatnich, przeżytych w dworku gościnnym, które tak boleśnie duszę jego szarpały. Dozorca więzienia, straż z bronią, kraty żelazne, byli dla niego daleko milszym widokiem od małych dzieci w owym dworku, które go w kwiaty stroiły!

Do tych moralnych korzyści, jakie mu dzisiejsze nieszczęście jego dawało, przyczyniła się jeszcze rozkosz nieopisana, że znowu zbliżył się do niego jego anioł opiekuńczy, przyszła do niego owa kobieta ze łzami w oczach, która od czasu zjawienia się w owéj nocnéj ucieczce tak wiele na całe jego życie wpłynęła!..

Ale to szczęście, ta radość, miała właśnie najboleśniejsze kolce. Te kolce przebijały wszystkie szczęśliwsze szaty jego, które teraz na siebie naciągnął, przebijały nawskróś i raniły mu serce boleśnie, bardzo boleśnie!

Anna bywała z Jerzym codziennie u niego. Przez znajomych ze Lwowa, któ-

rym wiele dobrego świadczyła, znalazła tutaj różne wpływy, które jéj pozwalały osłodzić dolę więźnia.

Zefir widział w téj kobiecie dla siebie coś nadzwyczajnego. Ubogi we wszystko, co tylko w życiu jest pięknćm i szlachetném, uczuł nagle, że ta kobieta rzuciła w jego duszę jednę iskrę z szlachetnych zapałów swoich, która zdolną była przemienić go w zupełnie nowego człowieka... On mógł rozpocząć żywot nowy, zupełnie nowy, mógł pod jéj wpływem odrodzić się, mógł nawet być zdolnym do wyższego poświęcenia się...

Na to wszystko jednak już nie było pory. Żelazna krata oddzielała go od świata, przed nim prócz brzęku kajdan i murów więziennych nie było już żadnéj przyszłości!..

Czy to miała być kara za drogę, którą poszedł? Czy właśnie na zaostrzenie téj kary miała się przed nim zjawić ta kobieta, do któréj odtąd, jak głodny Tantal do zastawionych potraw, będzie wiecznie rękę wyciągał — napróżno?..

Drzwi kazamaty otworzyły się. Wszedł Jerzy z dozorcą. Dozorca był od Anny obsypywany różnemi darami, i dlatego patrzył przez palce na swoje surowe obowiązki. Pogadawszy chwilkę, zostawił samego Jerzego z więźniem i wyszedł do swoich innych zatrudnień, nie zamknąwszy drzwi. Za drzwiami stała straż podwójna.

Jerzy spojrzał na zegarek.

— O któréj godzinie schodzi wczorajsza straż? — zapytał Zefira.

— O dwunastéj, — odparł Zefir i westchnął.

— Jest kwadrans na dwunastą... mamy dosyć czasu pomówić z sobą o różnych rzeczach.

Zefir nie obliczał ściśle znaczenia tych słów, był smutny i zamyślony, że Anna nie przyszła. Jerzy usiadł przy nim na sienniku, skrzyżował ręce, pomilczał chwil kilka, poczém ozwał się:

— Dziwnemi drogami prowadzi nas Opatrzność do wielkich celów swoich! Orężem i mądrością ustaw rozszerzaliśmy się w dziedzinach Europy jak dobry i pra-

cowity gospodarz, który do ojczystego majątku przyłączył włoście okoliczne... a dzisiaj rozlewamy się po całym starym i nowym świecie licznym taborem wychodztwa i — bezlitośném cierpieniem! Dzisiaj tylko po jęku zna nas Europa i wie, że żyjemy!.. Ale ten jęk, to jeszcze szczęście nasze, gdyby nie to, byłby — grób!.. Dopokąd ten nieśmiertelny „tajny fundusz"....

Zefir zerwał się z siennika, usta jego zadrżały konwulsyjnie.

— „Tajny fundusz?" — powtórzył głosem bez dźwięku i wpatrzył się w Jerzego.

Jerzy zamyślony patrzał przed siebie. Po chwili mówił daléj:

— Tak jest, „tajny fundusz"... kto z niego kiedykolwiek pełnemi garściami zaczerpnął...

— Ten zginął.... zginął na wieki! — krzyknął Zefir i poczerwieniał na twarzy... — ten za życia kupił sobie trumnę...

— Bardzo słusznie mówisz bracie, — mówił daléj spokojnie Jerzy, — bo tego świat ma już za umarłego! Dwóm bogom

służyć nie można.... Służy się wielkiéj idei, albo powszedniemu złemu!.. A świat powszedni, to — złe!

— Okropnie... okropne rzeczy mówisz!.. A przecież prawdę, okropną prawdę!

Głowa Zefira spadła na piersi. Stał tak chwilę i głęboko piersią oddychał. Jerzy mówił daléj:

— Źli i występni sięgają do tego „funduszu tajnego...“ i nim się spostrzegą, stają się lepszymi i cnotliwymi, choć przeto z światem powszednim staną w niedobrym stosunku!

Zefir przypadł do Jerzego, chwycił go konwulsyjnie za rękę i zawołał:

— Człowieku! Kto ci o tém powiedział!

— Kto?.. Bóg i dzieje! — spokojnie odpowiedział Jerzy.

Zefir patrzał przed siebie błędném okiem. Po twarzy jego przebiegały kurcze wewnętrznéj boleści.

— Jest wprawdzie potwór, — ciągnął daléj Jerzy, — potwór obrzydły, z którego wylęga się najplugawsze robactwo, a który nazywa się tém samém mianém:

„tajny fundusz.“ Jest to policyjny „tajny fundusz,“ który jako taki figuruje w budżetach rządów całéj Europy!.. A zadaniem tego tajnego funduszu jest walczyć przeciw nieśmiertelnemu funduszowi, jaki naród przez długie wieki dolą i niedolą uzbierał sobie i w tajnikach swoich ukrył!..

Zefir odetchnął pełną piersią. Usiadł na sienniku i spuścił głowę na piersi.

— Wierzaj mi bracie, — mówił daléj Jerzy, — gdy byłem młody i krewki, miałem szczególne wyobrażenie o sile narodu i o naszych nadziejach. Najprzód zdawało mi się, że chwilowym, wielkim zapałem można wszystkiego dokonać. Przekonałem się, że skutkiem chwilowych zapałów są tylko — ofiary! Wprawdzie i te wchodzą do funduszu narodowego, ale nie są — zwycięztwem!..

Po długiéj pauzie mówił Jerzy daléj:

— Potém ogarnęła mnie wiara w niewidome potęgi. Powiedziano mi, że cała Europa zaludniona jest „tajném bractwem,“ które skrycie i niewidomie kieruje losami ludzkości. Powiedziano mi, że te bractwa

mają „tajny fundusz“ niewyczerpany, którym szafują tajnie w obronie cierpiących i uciśnionych!.. Szukałem stolicy tych utajonych rycerzy idei, szukałem owego „tajnego funduszu,“ z którego chciałem wybłagać dla naszéj sprawy... ale ani téj stolicy przyszłości, ani tego niewyczerpanego „tajnego funduszu“ nie znalazłem!..

Jerzy zamilkł tutaj i pobiegł myślą w niedaleką przeszłość swoją.... Po chwili mówił daléj:

— Bóg jednak natchnął mnie i znalazłem ów „tajny fundusz!..“ Dzieje nasze kilkowiekowe, zapisane w nich nasze zwycięztwa i klęski, bohaterowie nasi i męczennicy... oto nasz „tajny fundusz.“ Z tego funduszu czerpali siły bohaterowie nasi, z niego czerpią ofiary idące w lody Sybiru... On nas żywi i karmi... Gdy z tego funduszu czerpać będziemy, to nas nikt nie zmoże, a przyszłość będzie nasza!...

Oczy Jerzego błysnęły jasno. Zdawało się, że widział w duchu tę przyszłość.... Po chwili mówił daléj:

— Rządy w Europie przyjęły do budżetu swego tak zwany policyjny „tajny fundusz.“ Tym funduszem walczą one często przeciw funduszom narodowym. Walka ta, tocząca się w ukryciu, wyradza najobrzydliwsze potwory. Często jednak mimo woli służą sprawie narodowéj jako ferment, przez ustawiczne drażnienie... Opatrzność potrzebuje czasem i... ręki zbrodniarza!...

Zefir zsunął się z siennika i ukląkł. Przycisnął twarz do kolan Jerzego i zawołał:

— Zlituj się... ty nie wiesz, jak mnie te słowa twoje....

— I mnie, gdy je wymawiam, rozdzierają duszę, ale ją zarazem stroją do wielkiéj wiary!... Chciałem ci o tém powiedzieć, jakie ma być twoje pole działania, gdy ztąd wyjdziesz... znowu do roboty!

— Ztąd wyjdę? — powtórzył z błędném wejrzeniem Zefir.

— Wyjdziesz, abyś był pożytecznym... Dlatego mówiłem ci o tém wszystkiém, bo sądzę, że szliśmy dotąd drogą fałszywą! Pierwéj musimy wszystkich powołać

do uczestnictwa naszego tajnego funduszu. A wiesz, że dotąd brakuje nas wielu, bardzo wielu... bez wszystkich — nie jesteśmy narodem!

Zefir był dziwnie oszołomiony. W głowie szumiało mu, przed oczyma migało wszystko...

— A teraz — mówił zmienionym głosem Jerzy, patrząc na zegarek, — teraz czas, abyś ztąd wyszedł. Straż zmieniona, weźmiesz mój surdut, kapelusz słomiany, i zrobisz się garbatym. Za murem szpitalnym czeka na ciebie... Anna!

Jerzy zbladł, wymówiwszy to ostatnie słowo. Zefir poczerwieniał cały, serce o mało piersi mu nie rozbiło.

— Co mówisz, człowieku? Ty bredzisz! Jesteś w gorączce! — zawołał dziwnym głosem.

— Ani chwili do stracenia, wszystko umówione i przygotowane!

— A cóż się z tobą stanie?

— Ja tu zostanę!... Anna da ci księgę, którój dałem tytuł „tajny fundusz.“ Spisałem tam dzieje nasze w dobrych i złych

dolach. Ta księga do ciebie teraz należy. Nią pracuj daléj, podczas gdy ja tu będę!

— Ale zlituj się... to niepodobna... to ofiara nadludzka!

— Nie trać czasu, bo będzie za późno!.. Anna czeka cię!

Wszystka krew uderzyła Zefirowi do głowy. Wolność, świat, Anna...

— Masz dwie minuty czasu... już kończą rozdawanie objadu.

Zefir wziął podany surdut i kapelusz. Padł na kolana przed Jerzym i zawołał:

— Klnę się przed tobą, że nowe moje życie rozpocznę... mordem! Muszę go zabić!...

Jerzy złożył blade usta do uśmiechu i rzekł:

— Mord w wyobrażeniach społecznych jest zbrodnią, w polityce jest czémś więcéj, jest... błędem!

W téj chwili słychać było nawoływanie dozorcy, ażeby wszystkie kaźnie zamykać. Objad już rozdzielono.

— Minuta jeszcze... a wszystko stracone!

Zefir wyszedł za drzwi.

Twarz Jerzego zbladła mocno i była bladą jak u człowieka, który umiera.

XXX.

Wieść o ucieczce niebezpiecznego więźnia gruchnęła po mieście. O Jerzym rozpowiadano najdziwaczniejsze wieści. Młodzież szkolna zalegała przez kilka dni ulicę Szpitalną, aby w zakratowaném oknie ujrzeć bladą twarz nieznajomego bohatera...

Gdy ta wieść do stolicy doszła, zajęła wszystkich mieszkańców. O niczém inném nie mówiono, jak tylko o dziwnéj, romantycznéj ucieczce więźnia, o bohaterstwie biednego, ułomnego człowieka, o tajemniczéj kobiecie...

A ta tajemnicza kobieta była teraz szczęśliwa, szczęśliwa bez granic!.. Siedziała właśnie przy fortepianie i grała,

bo jéj dusza potrzebowała innych słów, innych brzmień, aby się wylać, aby wypowiedzieć, co w niéj się mieściło...

Ojciec Anny był także szczęśliwy. Zacierał ręce i uśmiechał się do siebie.

— Ale czy nikt o tém nie wie, że ja miałem w tém palce?.. — zapytał po chwili córki.

— Żadna żywa dusza! — odpowiedziała Anna.

— I on nic nie wie?.. Nic mu nie powiedziałaś?

— Nic a nic... zostawiłam to ojcu...

— Dobrze dziecię moje!.. Za to użyczy ci Bóg szczęścia!..

Łzy radosne błysnęły w oczach Anny. Spojrzała na ojca, na ustach jéj drżało jakieś słowo... ale cofnęła je. Twarz jéj przybrała wyraz smutny.

— Biedny Jerzy! — szepnęła i spuściła głowę.

— Jerzy przecierpi trochę i na tém koniec. Cóż mu wielkiego się stanie? On i tak był zawsze fantastą...

— On był i jest najszlachetniejszym i najzacniejszym człowiekiem, jakiego znałam!

— Stało się. Za to gdy wyjdzie, przyjmiemy go jako krewnego do siebie...

Anna zamarzyła chwilę. Spojrzała na ojca, wzięła jego rękę, ucałowała ją i rzekła:

— A tego, któregoby Anna przyprowadziła do domu... czy ojczulko przyjmie za... krewnego?

Ojciec uśmiechnął się, zatarł ręce i rzekł:

— Słyszałem coś o tém!.. Józefowa mówiła mi, że pan... Alfons z Lipy... Lipa to ładny majątek... że pan Alfons z Lipy, gdzieście byli na noclegu.. zajął się tobą...

Dziwnie figlarny wyraz przebiegł po twarzy Anny... miała znowu jakieś słowo na ustach... ale to słowo cofnęła. Uśmiech tylko rozkoszny okazywał, że to słowo było także bardzo rozkoszne...

— Nie, ja nic ojczulkowi nie powiem... wkrótce przyjdzie on sam... pani Jędrzejowa przyprowadzi go, bo nawet nie zna

naszego mieszkania... o wiem, wiem, że ojczulko będzie kontent, bardzo kontent!..

Rzekłszy to, rzuciła się ojcu w objęcia i zaczęła głośno płakać.

— Co mówisz! On tu przyjdzie?.. Trzeba się jakoś przygotować... zaczekaj.

I zostawiwszy córkę w łzach nadobnych, odszedł do swego pokoju.

A Anna była tymczasem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Zbliżyła się do okna i wszystkim więźniom posłała serdeczne, gorące ucałowanie... posłała pocałunki kanarkom wiszącym w klatce na ścianie, i byłaby cały świat, gdyby mogła, do serca przycisnęła...

W téj chwili otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła sędziwego wieku kobieta w żałobnym stroju, a za nią postępował Zefir.

— Gustaw! — krzyknęła Anna i bezwładnie upadła na krzesło.

— Anno! — zawołał Zefir i chwycił ją za rękę, aby na niéj tysiąc pocałunków wycisnąć.

Sędziwa kobieta milczała chwilę, wpa-

trując się w piękny obraz dwojga ludzi szczęśliwych... Po chwili rzekła:

— Pani sprawiłaś mi tyle ulgi w boleści mojéj... weź tę chwilę za nagrodę!

Anna uścisnęła w milczeniu rękę sędziwéj kobiety. Zwróciła się do Zefira.

— Ojciec wkrótce przybędzie... i pobłogosławi nas!

Czoło Zefira zachmurzyło się. Ścisnął konwulsyjnie Annę za rękę i rzekł:

— Nim mnie zacna i szlachetna ręka twego ojca pobłogosławi, winienem jeszcze dopełnić ślubu mego...

— Uczyniłeś ślub?... Ach ja zapomniałam ślubować coś panu Bogu za szczęście moje...

— Tak jest, uczyniłem ślub panu Bogu, ale ślub — krwawy!

— Zlituj się... przerażasz mnie!

— Ślubowałem zabić jednego człowieka!

— Zabić człowieka?...

— Człowieka, który mi największe złe, jakie może być na świecie, wyrządził!

— Ach ulituj się... takiego ślubu Bóg nie przyjmuje!

— To ślubowałem — szatanowi! szatan przyjmie!

— Domyślam się, chcesz się mścić na sprawcach twego nieszczęścia... ale nieszczęście już przeminęło.... a najmilszą zemstą jest — przebaczenie!

— Są rzeczy, dla których nie ma przebaczenia!

Rzekłszy te słowa, zadrżał Zefir, bo zdawało mu się, że wymówił sam wyrok na siebie!...

W téj chwili otworzyły się drzwi boczne, a ojciec Anny wszedł wyświeżony i uśmiechnięty.

Ujrzawszy Zefira, osłupiał i stanął na środku pokoju.

Zefir, który w téj chwili klęczał przed Anną, zerwał się nagle i kurczowym ruchem ręki sięgał do kieszeni.

Ojciec Anny pobladł jak trup, twarz Zefira zagorzała ogniem.

— Czy to jest twój narzeczony Anno?— wybełkotał ojciec skostniałym językiem.

— Czy to jest twój ojciec? — grobowym głosem zapytał Zefir.

Nastąpiła straszna, okropna chwila milczenia. Anna nie wiedziała co się dzieje, bo jakaś dziwna trwoga ogarnęła jéj duszę. Dla sędziwéj matrony była ta scena niezrozumiałą.

Zefir stał jak wryty, a prawa ręka jego kurczowym ruchem sięgała do kieszeni...

— Więc to jest twój ojciec Anno? — powtórzył strasznym, piekielnym głosem.

Ajent tajnéj policji odetchnął pełną piersią, zachwiał się i upadł na krzesło.

— Anno! — zawołał drżącym głosem — jam chciał ci lepszy los zgotować! Tyś była jedyną istotą, którą kochałem na świecie! Więcéj nic nie kochałem!... Ale chciałem, żebyś ty więcéj kochała niżeli ja!... Żyłem w tém marzeniu i ono było mi jedyną osłodą na moich piaskach saharskich.. Anno! tyś nie spełniła moich pragnień!... Bóg sam wzniecił w mojéj zimnéj duszy te pragnienia, aby mnie właśnie przez nie ukarać!... Anno! tyś oddała serce prostemu, najętemu łotrowi!

— Któregoś ty najął! — słabym wyrzekł głosem Zefir i spuścił głowę na piersi.

Nie miał już siły sięgnąć ręką do kieszeni... ale sięgnęła ręka Boga.

Ojciec Anny posiniał w téj chwili, zachwiał się i z krzesłem upadł na ziemię.

Tknęła go apopleksja.

A kiedy obie kobiety w rozpaczy ręce łamały, otworzyły się drzwi z łoskotem.

Wszedł rewizor policji ze strażą.

— Panie Zefirze — ozwał się do osłupiałego, a straż w téj chwili rzuciła się na niego...

Sędziwa kobieta z trwogą uciekła z pośród tych ludzi. A za nią wślad pędziły straszne, zagadkowe słowa Zefira:

„Są rzeczy, dla których nie ma przebaczenia!“

. . . .

XXXII.

I rzeczywiście, strasznie spełniły się te słowa!..

Jeżeli społeczeństwo jest w stanie wyjątkowym i anormalnym, wtedy strasznym i nieubłaganym jest jego ostracyzm.

Kiedy wiadomość o tém, co się stało na wązkiéj uliczce przedmieścia Halickiego, po mieście się rozeszła, nie było między tysiącami mieszkańców, coby na uczciwych i niewinnych kamieniem nie rzucił!...

Do prostego faktu dorobiła opinja publiczna najrozmaitsze, najpotworniejsze komentarze! Nikogo nie było w całéj téj sprawie niewinnego, a Jerzego opłakiwano jako nieszczęśliwą ofiarę szatańskiéj zmowy ojca z córką!..

Kobiety, dla których była dawniéj Anna

aniołem pociechy, rzuciły także na nią kamieniem! Przypominano sobie różne rzeczy, drobne wypadki, które teraz służyły temu srogiemu wyrokowi za materjał do aktu oskarżenia!..

Wszyscy się od niéj oddalili jak od potworu...

Nie pomogły jéj płacze, nie pomogła jéj choroba, która ją rzuciła na łoże prawie śmiertelne.... Wyrok ferowano zaocznie i obżałowaną wymazano z rzędu żyjących!...

Anna zrzekła się wszystkiego tego, co po ojcu zostało. Wyzuła się do ostatniéj nitki. Wszystko oddała biednym i sierotom... nie pomogło to jéj nic w opinji publicznéj.

Najęła ubogą izdebkę na poddaszu, chciała żyć z pracy rąk swoich, z udzielania nauki, gry — nie znalazła nigdzie zarobku!

Stara Małgorzata musiała na swoje imię brać robotę, którą ona wykonywała po długich, bolesnych, bezsennych nocach...

Jeden tylko na całym świecie był czło-

wiek, ktory nie wierzył temu srogiemu wyrokowi sądów ludzkich. I on jeden tylko mógł jéj dać świadectwo, ale ten człowiek był w więzieniu!..

Anna odwiedzała go często w więzieniu jako jedynego przyjaciela na całym szerokim świecie! Płakała z nim razem i lżéj jéj było wtedy w samotném poddaszu...

Straszna, tém straszniejsza, że niezasłużona kara spadła na nią!

Są rzeczy, których społeczeństwo nigdy nie przebacza! a za które Bóg ma karać nawet następne pokolenie!..

Tu milczy już logika prawa...

* * *

Po roku tych niewypowiedzianych cierpień wchodził na poddasze Anny blady, ułomny człowiek... a szedł prosto z więzienia...

Biedny fizyczny kaleka wchodził teraz do jeszcze biedniejszéj, moralnéj kaleki...

Dziwnie, dziwnie porównał ich teraz Bóg między sobą...

Wierzymy, że w tak wyjątkowych warunkach życia było dzisiaj to poddasze — rajem szczęścia!..

Śród łez rozkosznych rzekła Anna do Jerzego:

— Cierpiałam wiele, bardzo wiele... ale była w tém i moja wina!

— Wina? Jakaż mogła być twoja wina aniele mój, — zapytał Jerzy w nadmiarze szczęścia.

— Żem ciebie odrazu nie kochała! — wyszepnęła zcicha i zapłonioną twarz ukryła na piersi narzeczonego.

. . . .

XXXIII.

EPILOG.

We dwa lata potém wystawiono na ulicy Halickiéj przed kryminałem rusztowanie, i tak zwanym „partyzantom“ odczytano publicznie wyroki, które brzmiały po lat kilkanaście.

Było skazanych zaledwie kilku, innych musiano uwolnić z braku dowodów.

Między skazanymi był także ów nieszczęśliwy Adolf Rol...., który za ostateczne odwołanie fantastycznych swoich wyznań, skazany był na lat dziesięć ciężkiego więzienia w Kufsztajnie, gdzie téż życia dokonał, otrzymawszy od towarzyszy na śmiertelném łożu po szczegółowéj spowiedzi swojéj zupełną absolucję. *)

*) Bibljoteka pisarzy polskich Brokhausa t. VII.

Czytanie tych wyroków odbywało się z wielką pompą.

Były w ówczesnym rządzie wyobrażenia, że tym sposobem zabije się hydra pragnień narodowych, która dotąd stróżom kraju spokojnie zasypiać nie dała... Innéj broni na nią nie znano, o innéw lekarstwie dla nurtującéj w głębi choroby nie pomyślano...

I stało się, że najbliżsi świadkowie téj pompy wyrokowéj, która ich na zawsze uspokoić miała, we trzy lata potém zapełnili znowu to samo więzienie, przed którém widzieli rusztowanie wyrokowe, a zapełnili dziesięć razy liczniéj!..

A w kilka lat potém najwyższa władza, sejm państwa, wybrał sobie z pomiędzy tych więźniów marszałka izby!..

W lat kilkanaście niektórym z tych więźniów sam rząd nadał dygnitarstwa, — z szeregu tych samych więźniów wybrał kraj i do stolicy państwa wysłał swoich reprezentantów!...

Czy wielkie, odwieczne prawdy zmieniły się dzisiaj, czy tylko wtedy nie chciał

ich widzieć krótkowidzący rozum policyjny, wykarmiony na tajnym funduszu?...

. . . .

Rządy policyjne ustały w większéj części Europy, ale „tajny fundusz“ pozostał. Muszą go nawet parlamenty wotować. Stracił on już jednak dawną swoją charakterystykę, chociaż nie stracił znaczenia swego i tego, co się do niego przywiązuje. Nie działa on tajnie, ale dosyć widomie. Żyją z niego dziennikarze, korespondenci, ajenci prasy zagranicznéj, a czasem nawet pod postacią wygodnéj synekury jest nagrodą położonych zasług w obronie zdań parlamentarnych, lub istniejących w społeczeństwie stronnictw...

Stary djabeł schował dzisiaj pazurki i ogon, a ubrawszy się we frak i białe rękawiczki, broi po staremu...

* * *

Był czas, w którym obiegała po Wiedniu pocieszna anegdotka. Cesarzowi Ferdynandowi przedłożono do podpisu pewne pozycje budżetu, przyczém także mówiono

wiele o mnożących się w Galicji „zbrodniarzach stanu.“

Cesarz Ferdynand długi czas patrzał zamyślony przed siebie. Po chwili ozwał się do ministra:

— Jakto? i nie ma sposobu na tych zbrodniarzy?

Minister nie spodziewał się tego zapytania. Z zadziwieniem patrzał na cesarza, którego twarz wyrażała w téj chwili niezwyczajną energję.

— Ręczę wam, — ozwał się po chwili monarcha z uśmiechem zadowolenia, — wszystkich tych zbrodniarzy mógłbym się pozbyć — jednym pociągiem pióra!

— Jednym pociągiem pióra? — powtórzył minister i zafrasował się widocznie nad stanem umysłowym monarchy.

— Tak jest, jednym pociągiem pióra! — odrzekł monarcha z determinacją.

Poczém wziął pióro do ręki, przebiegł oczyma pozycje budżetu i przekreślił — „tajny fundusz.“

— *Ja, ja, das ist der grösste Hochverräther!*—zawołał i z uśmiechem naiwnym spojrzał po swoich doradcach.

Doradcy korony uznali za stosowne, w obec tych słów monarchy, zachować jak najgłębsze milczenie....

Winniśmy jeszcze na zakończenie powiedzieć coś o reszcie naszych znajomych.

Jenerał po śmierci swego ajenta nie mógł już wytrzymać konkurencji z dyrektorem i prezydentem. Brak mu było raportów. Pomagał sobie jak mógł, ale nie szło jak dawniéj.

W roku 1840 wykryto w pułku „Mazzucheli“ szeroko rozgałęziony spisek, o którym poczciwy jenerał nic a nic nie wiedział. To podało zabójczą broń jego adwersarzom. Odwołano go ze Lwowa i przeniesiono do najspokojniejszego i najlojalniejszego zakątka państwa, do Gracu.

Ale pełen fantazji chorobliwéj jenerał znalazł i tam pole do ulubionych swoich raportów. Ten sam niepokój, co i w Galicji, trapił go i tam nieustannie. Wszędzie widział spiski, sprzysiężenia, puginały i petardy! Podejrzywał starych podagrzystów, żyjących tam na pensji, o za-

machy rewolucyjne, zarządzał najdziwaczniejsze środki ostrożności i niepokoił najwierniejszych poddanych państwa!..

Na powszechne życzenie nieszczęśliwych emerytów przeniesiono zapalczywego jenerała w góry tyrolskie. Przeniesienie to, w którém widział jasno zwycięztwo spiskowych w saméj radzie korony, tak go boleśnie dotknęło, że patrząc okiem wieszcza w bliski upadek państwa, dostał gorączki nerwowéj i wśród największéj trwogi przed zatrutemi sztyletami przeniósł się raz na zawsze — do wieczności!

Pokój jego duszy!

O Zefirze to tylko wspomnieć można, że zaliczony został do pospolitych złoczyńców. Jakkolwiek kara powinna była zmyć jego przewinienia podług litery prawa, Jerzy jednak radził mu, aby wyszedłszy z więzienia, poszedł w strony nieznane, a zmieniwszy nazwisko, rozpoczął zupełnie nowy żywot. Jerzy był tego zdania, że z tém samém nazwiskiem nie może żyć daléj...

Pan Tyberjusz przestał nosić ulubiony mundur lejtnanta i sąsiedzi bardzo są

niego zadowoleni. Najprzyjemniejszą chwilą jest mu wspomnienie owego współczucia, jakie okazali mu mieszczanie miasteczka, gdy uwięziony żegnał się z nimi. Za to współczucie wynagrodził miasteczko, dając mu na fundusz pożyczkowy dziesięć tysięcy reńskich, które był przeznaczył dla uzyskania tytułów i honorów...

Pani Ida przyzwyczaiła się do polskich książek i czyta je z zapałem.

„Mistrz“ jest rezydentem u pana Tyberjusza. We dnie uczy chłopców ze wsi czytać i pisać, a wieczorem śpiewa przy herbacie pieśń karbonarjuszów, którą z wielkim żalem już dzisiaj tylko za pomnik historyczny uważa!..

Pandraczek wyszedł z czasem znowu na komisasza pierwszéj klasy, zakończył jednak życie nader tragicznie. Roku 1848 wesoła szlachta włożyła mu raz bezkarnie rogatą czapkę na głowę, co go tak zmartwiło, że wróciwszy do domu, położył się do łóżka i już z niego nie wstał!

Pokój i jego duszy, oby nie został upiorem!...

Drezno, w maju 1869.